

DZIEŁA
P O E T Y C Z N E

WIERSZEM I PROZĄ

J. U. NIEMCEWICZA.

TOM DRUGI.

Wydanie nowe i kompletne

Jana Nep. Bobrowicza.

w L i p s k u,

Nakładem i Drukiem Breitkopfa i Haertela.

1 8 3 8.

Za pozwoleniem Cenzury.

B A J K I.

KSIĘGA PIĄTA.

B A J K I.

K S I Ę G A P I Ą T A.

B A J E A I.

Oryginalna.

Jabłko Rajskie.

Do stołu w jednym zagranicznym mieście,
Gdzie każdemu podróżnemu,
Cywilnemu, wojskowemu,
A nawet czasem niewieście,
Siadać jest wolno: przybył wóz pocztowy,
W nim z większej świata połowy,
Różnych narodów, postaci, natury,
Były figury.

Te głodne, pędem stół w koło osiadły,
I smaczno jadły.

Gdy już jedzeniem żołądki zagrzone,
A przez Burgunda policzki rumiane,

Lśknąć się zaczęły: gdy w szampańskim dymie,
 I ten wymowny, co zwyczajnie drzymie;
 Właśnie przy wetach, kiedy obrus zdjęto,
 O Rajskim jabłku rozmawiać zaczęto.
 Było to jabłko, był to owoc smaczny,
 Rzekł jeden z gości, gdy Adam tak baczny,
 Gdy piękna Ewa, uwieść się niem dali,
 I tak oboje, chciwie zajadali:
 Ozwał się Polak: — „Była to winówka,

A raczej pewnie burztówka.“ —

A gdy ktoś o tem zaczął powątpiewać,

Chciał się do szabli porywać.

Szczęściem że Anglik z miną zasepioną,
 Tak ją ułatwiać wątpliwość rzuconą: —

„Jabłko, co tyle zalet w sobie miało,
 W wielkiej Brytanji rodzić się musiało,
 Był to *Gold pepin*”), jeżeli kto nie wierzy temu,
 Ja stawię tysiąc funtów, naprzeciw jednemu.“ —
 W tem Francuz żywy, lecz przytem łagodny,

W mowie w ruszeniu swobodny,

„Monsieur, rzecze mu, nikt się niedziwuje,
 Że wszystko dobre Anglik sobie przypisuje,
 I że w tym sporze, w tej małej zawadzie,
 Na same jabłka monopolium kładzie:

Lecz któżby temu uwierzył?

Nie będąc się długo szerzył,

Zeby owoce widzieć dojrziałemi,

Niedosyć wody i ziemi,

*) *Gold pepin*, jabłka bardzo cenione w Anglii.

Coś jeszcze więcej potrzeba,
Potrzeba ciepła, pogodnego nieba,
Gdzie niema słońca, gdzie mgły wiekuiste,
Ciężko tam znaleźć jabłka, piękne i soczyste;
Prędnij się każdy na to zemną zgodzi,
Że raczej w kraju, gdzie nieba pogodne,
Rodzajne niwy, a zimy łagodne,
Gdzie upał słońca luby zefir chłodzi,
Słowem w tej Francyi, w tej pięknej krainie,
Co nad wszystkie inne słynie,
Pod imieniem Renety, na brzegach Sekwany,
Frukt się rodził zakazany.“ —

„Niemogę się na to zgodzić,
Rzekł Portugalczyk z śmiałą nieco miną,
Frukt co pięknością mógł Ewę uwodzić,
Był pomarańczą, albo też cytryną.“ —

„Błazdzie, rzecz Czułowiek opalony,
Na brzegach Indu zrodzony:

Ewa miała gust wyborny,
Adam był człowiek przezorny,
Mogliż oboje zwieść się takim kwasem?
To rajske jabłko było ananasem.“ —

Trwały jeszcze zdania sprzeczne,

Kiedy staruszek niejaki,

Przenoszący nad przysmaki,

To co było pożyteczne,

Otwarty, rozsądny szczery,

Słowem, mieszkaniec Wezery,

Wychyliwszy piwa sztoffel,

„Ten owoc rzecz, był pewnie kartofel.“ —

Długoby może ciągnęły się spory,
Kiedy mąż pełen pokory,
Mąż mówię Bozki, tak usta otwiera: —
„Na próżno rzecze, każdy się tu spiera,
Bóg nam swój zakon, chciał w piśmie oznaczyć,
Zeby go czytać, nie żeby tłómaczyć;
Choćby co mogło w tej księdze zdumiewać,
Bezpieczniej wierzyć, niżli powątpiewać.



B A J K I II.

*Tłómaczona z Perskiego.***Sowa, Ziemba i Krogulec.**

W zielonym miłym gaju
Przy jasno-chłodnym strumyku,
Na wierzchu dawnego Demba
Gdzie woda i żyr gotowy,
Żyła nieszczęsna Ziemba
Pod srogą przemocą Sowy:
Ale jakie biedne życie!
Jęczała nieboga skrycie
Nad rodu całego losem.
Sowa coraz nowym ciosem
Szkody jej srogie zadawa,
Bez względu na ptasze prawa:
Gwałty wszędzie rozpościera
Wszystko psuje i zabiera.
Nie raz znienacka przyleci,
I zrzuciwszy Ziemby dzieci,
W jej gniazdo (Pani nadęta)
Wkłada swe własne sowięta.
W tak przykrym stanie,
Płacz i narzekanie
Zostały biednej ptaszynie:
Alić na bliskiej Jedlinie,

Siedział Krogulec mocny, lecz wspaniały,
I widząc ród ptasząt mały
Pod strasznym gwałtem ugięty,
Szlachetną litością zdjęty,
W urzędzie Pełnomocnika
Wysłał do ziemby Słowika,
Z szczerem nad nią uzaleniem
I z przyjaźni oświadczeniem.
Pełniąc swoje obowiązki
Siadł poseł na brzegu gałązki,
Gdzie było Ziemby mieszkanie;
I tam przez słodkie śpiewanie,
Jej się niedoli lituje,
Pomoc pewną obiecuje
Na przeciw gwałtom Tyrana.
Na głos ten Ziembra stroskana,
Z radością nadstawia ucha,
I już pochlebna otucha
W smutnem sercu radość nieci,
Już jej maleńkie dzieci
Na głos tak wdzięczny tak miły,
Z gniazda główki wystawiły.
Zazdrosna Sowa że posłaniec nowy,
Taką odmianę sprawił swemi słowy,
Zaczęła także z swej strony,
Wrzeszczeć przykre mi tony;
Lecz próżno, każdy zrozumie,
Bo Sowa śpiewać nie umie.
W tem już śmielsza Ziembra mała,
Więcej Słowika słuchała.

Gniewem okrutnym przejęta,
Gdy się sąsiadka zawzięta,
Rzuca, nadyma i gniewa,
Że skuteczniej Słowik śpiewa,
Ziomba tak do niej mówiła:

„Moja ty Pani miła,
„Kto się nademną lituje,
„Kto mię wspierać obiecuje,
„Kto przyjemniej do mnie gada,
„Tegom wdzięczniej słuchać rada.
„Ty się dziwić nie przestajesz ?
„Ty, co mię szarpiesz lub łajesz !“

B A J K A III.

*Oryginalna.***Plotki.**

W środku samego miasta,
 Na boku ogrodu,
 Gdym szedł latem używać pogodnego chłodu,
 Uderzyła mię w oczy, (niewiem czy niewiasta,
 Czyli postać płci męskiej) duża i nadęta,
 Cała szatami była obwinięta;
 Nad uprawną rolę stała,
 I w ręku kosz duży trzymała.
 Zdziwiony, zbliżam się pędem,
 Pytając się jak się zowie;
 Widmo mi na to odpowie.
 „Zowią mię na świecie błędem:
 „Na tej tu uprawnej roli,
 „Zasiewam Plotki powoli:
 „Letkość i zazdrość są moje nasiona.
 „W pracy mojej nieznudzona,
 „Siejąc, przebiegłam wszystkie krainy;
 „Lecz niewiem z jakiej przyczyny,
 „Nigdzie się Plotki tak bujnie nie rodzą,
 „Nigdzie tak pięknie nie kwitną, nie wschodzą,
 „Nigdzie nie są w takiej sławie,
 „Jak tu w Warszawie.

„Nadto, do słońca mniej stosowne biegu,

„Rodzą się latem, rodzą i na śniegu:

„Nic im wzrostu brać nie broni,

„Żadna nie spóźnia zwłoka.“

To wyrzekłszy, z chojnej dłoni,

Nasienie rzuca na niwy:

Co za cudo! w mgnieniu oka

Podnosi się plon szczęśliwy;

Cała się rola zieleni,

Kwiat się razem rozwija i owoc rumieni.

Jak owe jabłka ponsem zażywione,

Okryły nowe krzewy Plotki niezliczone;

Plotki różnego rodzaju,

Wszystkie stosowne do kraju.

Gdy mię ten widok nadzwyczajny ludzi,

Tłok nieprzejrzany ludzi,

Porzuciwszy dzieci, domy,

Tak ślicznych Plotek łakomy,

Nasycać się niemi spieszy:

Choć owoc zwierzchu się lśnący,

Wewnątrz zaś pusty i nie niemający;

Dziwnie był smaczny dla ciekawej rzeszy.

Ten je więc chciwie zajada,

Ten w pudło przygotowane

Zerwawszy Plotki rumiane,

Pięknie je liściem przekłada,

I oddawszy do rąk pewnych,

Posyła na wieś dla krewnych;

Tam dalej kobiety płoche,

Ładne, dowcipne, złe troche,

Zbierają ciche i głośnie,
Plotki miłosne.

Tu człek nadęty i dumny,
Choć okrutny i rozumny,

W znizeniu swem innego nie mając lekarstwa,
Jak same baśnie i łgarstwa,
Zbiera Plotki polityczne,
I szle je w miejsca rozliczne.

Ci widząc jak za bajki nagroda jest chlubna,
Posyłają je do Dubna;
Dalej podli zauszniczy,
Zysków cheiwi pochlebniczy,
Zrywali Plotki domowe,
Niezgody mnożyć gotowe.
Kiedy tak liczna gromada
Pakuje Plotki i one zajada,
Pokazała się niewiasta nadobna:
Żadnym wytworem nie była ozdobna,
Ani jej ćmiła zasłona,

Lecz letki rąbek białe przykrywał ramiona,
W ręku gorzała pochodnia zajęta;
Była to Prawda święta,
I zaledwie wzrok pogodny,
Rzuciła na plon odrodny,
Zniknął błąd plotki siejący,
Zniknęły fałszywe drzewa;
Lud się dopiero zdumiewa,
Że tak był bardzo łaknący,
Plotek, co tylko są dymem fałszywym.

O święta prawdo! mieszkaj zawsze z nami,
Ciebie my ślubem wzywamy życzliwym,
Niechaj nas twoja pochodnia oświeca,
Niech błąd niezgody w pośród nas niewznieca,
Niech naród światły jasno zawsze widzi,
Szanuje Prawdę, a Płotek się wstydzi.

1789.



B A D A N I E.

*Oryginalna.***Brat i Siostra.**

Gdzie huczne zwiedzając morze,
 Kupiec żaglem wiatry porze,
 Na wyspie jednej spokojnej
 Mieszkał naród znamienity,
 Naród od natury bojnej
 We wszystkie dary obfity;
 A nadto, w czym jest tak skąpym los srogi,
 Dał mu wolności dar drogi.
 Była to wyspa szczęśliwa,
 Lecz jak i w wolnych krajach często bywa,
 Kto zręcznie umiał ludowi dogodzić,
 Mógł na potem ludem wodzić.
 Tak się w tej wyspie zdarzyło:
 Niewiasta jedna nadobna,
 Zręczna, obrotna, sposobna,
 Do tego przyszła swą siłą,
 Że ją rządzić narodem;
 Sławna była dawnym rodem,
 Uczony dzieła jej chowa,
 Znana w Atenach i Rzymie,
 Wszędzie wolność czei jej imię,
 Nazywała się W y m o w a.

Postać nadobna, i w ładzącej twarzy

Ogień z słodyczą się żarzy.

Chciwa ozdoby i zimą i latem,

Nie dość że skronie uwieńczała kwiatem;

Do wdzięków co jej natura

Hojną dłonią udzieliła,

Ona jeszcze pawie pióra

Dla ozdoby przyczyniła.

Suknie nosiła świejące;

Bardziej dla celu niż wdzięku,

Trzymała w obydwóch rękę

Dwie pochodnie gorejące;

Nie żeby niemi umysły oświecać,

Lecz żeby pożary wzniecać.

A tak w wytwornej postaci,

Przez słodkie oczu spojrzenie,

Na zgromadzonych współ-braci

Puszcza wdzięcznych słów strumienie.

Długo głupi i uczony,

Słodkiem brzmieniem omamiony,

Od wielu widząc popartą,

Słuchał ją z gębą otwartą.

Bóg wie jak silną stała się jej władza,

Sama wszystkiemu zaradza;

Tym pochlebia, tych zasmuca,

Na tych kwiatami rzuca.

Wśród ślepej zapalczywości

Nieraz gniewem uniesiona,

Własne rozdziera wnętrzności.

Tak gdy niepowściągnięta,

(Czyli to jaka choroba,
Czy rozumiała że się to podoba)
I gada zawsze i gada;
A kiedy cała gromada,
Na wszystkie potrzeby głucha,
Nic nie robi tylko słucha;
Ustała wszelka robota,
Budowy na pół wzniesione,
Zostały niedokończone.
Bo zawsze wymowna cnota,
Wolała gadać jak czynić,
I mniej zachęcać jak winić.
Już się rok schylał do końca,
Jako rzesza próżnująca,
Niepomna ważnych widoków,
Godzino - płynnych słuchała potoków.
Nakoniec los szczęśliwy otworzył im oczy,
Poznali że chcąc ludźmi dobrze władać,
Niedosyć jest tylko gadać;
Że gdy się z słowy skutek nie jednoczy,
Z najprzyjemniejszą wymową
Często można podrwić głową.
Zaczęli więc myśleć wielce,
Przydać kogo rządcielece.
W tejże wyspie z drugiej strony,
Mieszkał w zaciszy szczęśliwej,
Cnej Wymowy brat rodzony.
Nie znał żądzy świegotliwej,
Stały w sercu, w słowach skromny,
Nikczemnych uraz niepomny,

Lubił jasność i porządek,
I nazywał się Rozsądek.
Bardziej powolny niż ostry,
Z daleka patrzył na szaleństwa Siostry;
Z razu zbawienne chciał jej dawać rady,
Ale naród zapalony,
Wraz go posądził o zdrady;
Z wzdargą został odrzucony.
Lecz prędko tryumf go czekał:
Gdy się bowiem czas odwlekał,
Skutki próżnego gadania,
I ustawnego słuchania,
Do tego lud ten przywiodły,
Że z pokornymi modły,
Przyszedł Rozsądku prosić,
Żeby go bronił od zguby,
I niechcąc więcej błędów siostry znosić,
Wprowadził rzeczy w ścisłe kluby.
Dobra współ-braci pragnący,
Podjął się usług skwapliwie;
I by duch wszystko pałacy,
Mógł umiarkować szczęśliwie
I z siostrą zaradzać zgodnie,
Zostawił jej świetne szaty,
I pawie pióra i kwiaty,
Ale odebrał pochodnie.
Tak brat z siostrą wspólnych darów,
Gdy używa poważany,
Nie było więcej pożarów,
Zgoiły się dawne rany,

I wyspa pokój zyskała:
Nikt się już więcej nie wadził,
Słodka Wymowa serca poruszała,
Ale umysły Rozsądek prowadził.



B A J K I V.

*Oryginalna.***Kundle.**

Człowiek cnotliwy, lecz obciążon troski,
 Szedł wieczorem mimo wioski;
 Pies zaczął szczekać, a zanim tuż drugi,
 Wkrótce trzody wierne sługi,
 Z całej wsi kundle wypadłszy skwapliwie,
 Wyć zaczęły przeraźliwie.
 Czemuż, ktoś się ich spytał, tak straszne szczekanie?
 Nie umiał odpowiedzieć żaden na pytanie,
 Żaden nieznał przyczyny, wszyscy wyli razem.
 Publicznych wrzasków, to jest prawdziwym obrazem:
 Ten błędnie coś usłyszał, drugi wraz powtarza,
 Łaje, szkaluje, i ogień rozżarza;
 Pełen żółci i goryczy,
 Sam nie wie dla czego krzyczy.
 Cnotliwy (ktoś mi powie) potwarze te znosi,
 Zły je człowiek wymyśla, a głupi roznosi;
 Lecz cnotliwy częstokroć życiem je przypłacił,
 Przez nie Sokrates wolność naprzód stracił,
 I zawstydzając zarzuty beczelne,
 Pił mężnie jady śmiertelne.
 Przez nie Arystyd wygnaniem skarany,
 Przez nie Scypio szkalowany,

Prześladowaniem, podstępna robotą,
Zazdrość mściła się nad cnotą:

Ona skruszyła wolności ołtarze.

Któż Rzymu, Grecyi kwitnące krainy
Poddał w niewolę, i okrył ruiny?

Zazdrość, niezgody, potwarze.

Moi panowie, widzicie przykłady,
Nie posądzajcież cnotliwych o zdrady:
Ojczyzna na tem najwięcej szkodzi,
Wy się gryziecie któż ją poratuje!

1790.



BAJKA VI.

*Oryginalna.***Gmach podupadły.**

Nie raz ten co bajki plecie,
Trafunkiem i prawdę powie.
W Mozyrskim mówią Powiecie,
(Nie wiem, jak się miejsce zowie)
Leżał Zamek starodawny,
Nad czystego źródłu spadkiem:
Niegdyś wielkością swą sławny,
Okazałości był wzorem;
Lecz czasem i niedozorem,
Już zewsząd groził upadkiem.
Panowie co w nim mieszkali,
Długo o zamek nie dbali,
Choć się część jego zwała;
Lecz gdy i reszta groziła,
Że każdemu miłe życie,
Niechcąc żyć w niepewnym bycie,
Jęli myśleć o poprawie:
Co się w mnóstwie rzadko zdarzy,
Zgodzili się w swej ustawie,
Że chcąc ruiny poprawić,
Należy się mieć mularzy.
Wśród tej gorliwej ochoty,
Gdy przyjść miało do roboty,

Gdy mur nowy mieli stawić,
I dawne naprawić rysy,
Sklócili się o abrysy.
Należy wiedzieć że niedawnym czasem,
Gdy się dom walił częściami,
Pan chcąc go wzmocnić nawiasem,
Podparł go kilką dragami;
Ale Zamek murowany,
Źle podpira drag drewniany.
Dawni jednak budownicy,
Dziela swego miłośnicy,
Chcieli by w nowych nie szukając wzorach,
Klecić na dawnych podporach.
Lecz większa drugich połowa,
Szczera w chęciach, w radach zdrowa,
Wołała: „Próżna robota,
„Próżna praca i ochota.
„Wszystko będzie pełne wady,
„Gdy wątle będą zasady:
„Że trzeba żeby Panięta,
„Wspomnieli na fundamenta:
„Że gdy te założą trwało,
„Mogą potem stawić śmiało,
„A gmach stojąc w czas daleki,
„Zwalczy pioruny i wieki.“ —
Próżna mowa, bo jedni jej nie zrozumieli,
Drudzy zrozumieć nie chcieli,
Ci zaś najwięcej mieszały,
Co budownictwa nie znali.
Bo gdy ten o podwalinach,

I o upadku przyczynach

Chce radzić, tamci coś nowego wzniecą,

I z jakąś fraszką wylecą.

Ten żąda okna poprawić,

Tamten nowy dach postawić,

Ten piec gdzie indziej przenosi,

Ów gwałtem kominka prosi,

Wielu zaś o to nagliło,

Żeby drzwiczek sekretnych jak najwięcej było.

Wśród tak rozlicznych sporów i niezgody,

Co Babilońskie przypomniały wieże,

Kiedy się każdy niby od upadku strzeże,

I chcąc dać jasne dowody,

Głębokiej swojej mądrości,

I niemyślnej ostrożności,

Choć nie zna gmachu osnowy,

Przydaje swym konceptem gabinecik nowy.

I gdy tak każdy szuka swej zalety,

Nowe stawiać gabinety,

Że już samego gmachu ledwie widać było;

A co dziwna że w tym gwarze,

Zapomnieli iż Mularze

Najprędzej potrzebni byli,

Żeby gmach zabezpieczyli.

Lecz czyli takie losu zrządzenie,

Czyli jakieś zaślepienie,

Czyli że się Pan nie chciał czeladzi powierzyć,

A czeladź bała się Pana;

Choć była wszystkich chęć niepodejrzana,

Nikt nie mógł sporów uśmierzyć,

Nikt nie mógł trafić do końca.
Już nie jednego miesiąca,
Dni na próżno uleciały,
Alie Gmach ów nadwątlały,
Nie doczekawszy pomocy,
W pośród okropnej nocy,
W pośród gromów przeraźliwych,
Spadł na głowy nieszczęśliwych.
W ten czas przy ostatnim zgonie,
Z płaczem wszyscy narzekali,
Ze gabinety stawiali,
Gdy trzeba było myśleć o domu obronie.

BAJKA VII.

*Oryginalna.***Bekieszka.**

Zima nadeszła i Borea plemię,
Śniegiem okryło już ziemię.
Biedni mieszkańcy północnej krajny,
Jak gdyby tylu zgryzoty przyczyny,
Tylu przykrości nie mieli,
Jeszcze i zimno cierpieć musieli.
Każdy więc od mrozu się bronił,
I czem mógł tem się ochronił.
Kmiotek okrył się kożuchem;
Lecz pan co przedniejszym duchem,
Czuje się być zażywionym,
Z potrzeby zbytki porobił,
I futrem z obcych krajów sprowadzonym,
Wyniosłe barki ozdobił.
Pokazały się gładkie popielice,
I złotem tkane petlice,
Krzyżaki, kuny, marmurki,
I Astrakańskie burki,
Kiereje z srogich niedźwiedzi,
W której pan podczaszy siedzi:
Delijki ze grzbietów rysich,
Lecz najwięcej futer lisich.

Między wszystkimi atoli,
Bekieszka z pięknych soboli,
Pyszniła się miną hardą,
I z niesłychaną pogardą,
Patrzała na niedźwiedzie, szlamy, gronostaje;
A kiedy tak wszystkich łaje,
Czuła kierejka na swe poniżenie,
Do sobolów się zbliżyła,
I gdy z nienacka poły jej odkryła,
Co za fałszywość niecnoty!
Patrzy: jakie zadziwienie!
Z wierzchu sobole, a pod spodem koty.
Niebaczni ludzie, wy sami nie wiecie,
Jak wiele takich bekieszek na świecie,
Niechciejcie nigdy w tym zepsutym wieku,
Z powierzchowności sądzić o człowieku;
Nie jeden, gdy się zasłony odwiną,
Katonem w słowach; w sercu Katyliną.

B A J K A VIII.

*Oryginalna.***Mucha i Pszczoła.**

Już wiosna w kwiecistym wianku
Smutną postać świata zdjęła,
Już ziemia rokoszą tchnęła;
Kiedy jasnego poranku,
Odwiedzając wonne zioła,
I co do jej robot służy,
Siadła przykładna Pszczoła,
Na barwistym pączku róży,
I schyliwszy listek mięki,
Piła świeżą łzę jutrzeńki.

Lecz gdy tak pije i skrzydełkiem rucha,
Przyleciała z drugiej strony,
Na tenże krzaczek zielony,
Nic nierobiąca Mucha;
Rzuciwszy oko na całą pasiekę,
Na bieżącą przez nią rzekę,
Na lipy kwiatem pachnące,
I na dęby cień dające,

Westchnęła; potem w przyjaznym zarzucie,
Wyrażała tak swe czucie:
„Ach! jaki smutek dotkliwy
„Serce moje wskrós przejmuję,

„Gdy się zewsząd zapatruję,
„Jak siostró stan twój szczęśliwy!
„Kiedy biedne moje życie
„Równam z twemi dostatkami,
„Z pełnemi miodu ulami,
„Niemogę tobie niezazdrościć skrycie.“ —

Pszczółka tak jej odpowiada:

„Niech cię twa nie dziwi biada;
„Wieszże z kąd nasze są miody?
„Skutkiem są pracy i zgody.
„Widzisz te ule stojące,
„Mieszkają w nich pszczoł tysiące,
„Żadna nie żyje dla siebie;
„Każda ku wspólnej potrzebie,
„Daje co tylko posiada,
„Jedna na drugą nie składa;
„I gdy na obszar szeroki,
„Okryty gryką i kwiatem,
„Lecim w dzień pogodny latem,
„Zbierać dobroczynne soki,
„Im więcej która przynosi,
„Tym bardziej radość swą głosi,
„A pracą zebrane zapasy,
„Słodzą nam zimowe czasy.
„Prawda że ciąg dni szczęśliwych
„Ma także swoje przygody:
„I my, jak inne narody
„Mamy nieprzyjaciół mściwych.
(I pszczoła się zupełnie szczęśliwą nie mieni)
„Nie raz tłum brzydkich szerszeni

„Przychodzi miody nam zjadać;
„Lecz co zwykła nami władać,
„I Matka nasza i Pani,
„Zarówno jak jej poddani
„Razem z nami nienawidzi
„I Szerszeniami się brzydzi;
„A kędy miłość i nienawiść wspólna,
„Tam jest przemoc nieudolna.
„Inna we wszystkim u was odmiana,
„Moja ty Mucho kochana!
„Czyli w starości, czy w młodości kwiecie,
„Od dziś do jutra żyjecie;
„Rzadko która z was pamięta
„Że całość ojczyzny święta,
„Pierwszym powinna być celem;
„Że ten jej nieprzyjacielem,
„Kto o jej szczęście niedbały,
„Kto się jej nie odda cały.
„Los z wami srogie wyrządza igrzyska,
„Wspólnej potrzebie rzadko zaradzicie,
„I jeżeli się zgromadzicie,
„To albo wkoło półmiska,
„Albo na brzegu pełnej szklanki wina;
„W was samych nieszczęść przyczyna.
„Jeżeli więc chcecie Pszczoły naśladować,
„I być jak one szczęśliwe, spokojne,
„Bądźcie dla dobra powszechnego hojne,
„Chciejcie jak one pracować.
„Ale inaczej w każdej pajęczynie,
„Niebaczny rodzaj zaginie.“—

To rzekłszy, dłużej niemogąc się bawić,
Mądra Pszczoła uleciała;
A Mucha co ją uważnie słuchała,
„Trzeba się, rzekła, poprawić.“



B A J K A II.

*Oryginalna.***Pożar.**

W obszernym domie, zdawna zamieszkanym,
 Lecz jak się zdaje, na klęski skazanym,
 W domie, gdzie mieszkał bogaty i mierny,
 Zajął się pożar niezmierny:

Co bradziej jeszcze powiększyło trwogę,
 Ze ze trzech stron wiatry srogie,
 Wznosząc iskry, dym, płomienie,

Ognistą łoną niebieskie sklepienie

Okryły: dzielni mieszkańcy atoli

W tej ostatecznej niedoli,
 Miasto rozpaczy, frasunku,
 Rzucili się do ratunku.

Porwali się niepomni na własną swą zgubę,
 By obronić szczyty łube.

Gaszenia rodzaj wszelaki,
 Sikawki, woda i baki,

Co roztropność, albo też męstwo znakomite

Kazały, wszystko tam było użyte.

Gdy wszyscy walczą w powszechnej obronie,

Jeden samolub, w najmodniejszym tonie,

Mniej dbając że się dom cały mógł spalić,

Byleby własne tłumoczki ocalić,

Zabrawszy ruchomość swoją,
Wyszedł przez tylne podwoje,
I do obcej się kamienicy schronił;
Niezmiernie kontent, że siebie obronił,
Tam przez lornetkę i w oknie stojący,
Spokojnie patrzył na dom gorejący.
Nie pierwszy przykład, że zamysł cnotliwy,
I hazardy i starania,
Skutek wzięły nieszczęśliwy;
Mimo pracy obrońców, i usiłowania,
Dom ów ze wszystkim się spalił,
I szczyt się cały zawalił.
Mieszkaniec który się go, obronić spodziewał,
Smutne popioły, gdy łzami oblewał
I w pośród gruzów zamyślony siedział,
Przyszedł do niego samolub kochany,
I rzekł mu: „Jam to wszystko przepowiedział,
„Nikt wam rozumu tego niepochwali,
„Co za zamysł niesłychany,
„Biedz do obrony, kiedy dom się pali!
„A potem całe dzieło bez porządku,
„Bez ładu i bez rozsądku.
„Kto widział wodą chcieć ugasić mury?
„Ja na mnie winy tej niebędę składał, . . . “
Przerwał mieszkaniec: „Wyrodku natury,
„Ty coś siebie nad dobro powszechnie przekładał,
„Kto dzielić z cnotliwemi hazardów się boi,
„Temu zarzutów czynić nieprzystoi;
„Nieśmiałeś z nami rzeczy powszechniej zasłaniać,
„Niamasz dziś prawa naganiać.

„Ni zamysłu, ni sposobu;
„Zginęliśmy, lecz z sobą przeniesiem do grobu
„Czułe pocziwych wspomnienia,
„Spokojność i świadectwo własnego sumienia.
„Ty coś zakładał szczęście twoje w złocie,
„Żyj z niem, żyj razem w hańbie i zgryzocie.“ —
1794.



B A J K A II.

*Oryginalna.***Krety.**

Kiedy wszystko złe się dzieje,
Kiedy nieufność, niezgody,
Zniszczywszy wszystkich nadzieje,
Zostawia rzeczy jak wprzody;
W smutnym losów naszych względzie,
Niech przynajmniej wolno będzie,
Kiedy już prawda nie miła nikomu,
Siedzącemu cicho w domu,
Przed kochanemi współ-bracią,
Powiedzieć prawdę pod bajki postacią. —
Ogrodnik jeden rozsądny,
Pracowity i porządny,
Dostał po Ojcu niedbałym,
Sad drzewy zewsząd okryty:
Sad ten był niegdyś ogrodem wspaniałym,
Lecz czas srogi, nieużyty,
A bardziej jeszcze przeszli ogrodnicy,
Co się w tym sadzie rządzą, —
Tak go srodze opuścili,
Ześ już nie poznał i jednej ulicy.
Same chwasty i rośliny,
Pomiędzy niemi gadziny,

Kwatery pozarzucane,
Drzewa wszędy połamane:
Słowem z pełnego wprzód owoców sadu,
Zrobili puszcę bez sprawy i ładu.
Tak więc rzeczy opuszczone,
W spadku nowemu dostały się panu;
Chciał je przez prace łożone,
Do dawnego przywieść stanu:
Plantę więc nową, porządnie ułożył,
Tutaj ulice naznaczył,
Dalej inspekta założył;
Tu drzewom owoc noszącym,
Tutaj lipom wonią tchnącym,
Właściwe miejsca przeznaczył.
Gdy się nadziei podaje
Przyszłego szczęścia porządku,
Zaraz na samym początku,
Niežnośnych przeszkód doznaje.
Kto rzeczy ważnej chce się podejmować,
Nim postąpi w swoim dziele,
Znosić musi przeszkód wiele,
I z zazdrością się pasować.
Ten los spotkał ogrodnika:
Zaledwie pierwszą ulicę wytyka,
(Więcej użytku pragnąc niż zalety)
Wnet utajone Krety,
Ziemię, która się zaczęła prostować,
Jęły ryć wkoło i toczyć i psować;
A choć wprzód z sobą niezgodne,
Chęć psucia i wywracania,

Złączyła plemie odrodne;
Już są jednego zdania,
I te co pierwaj na siebie pryskały,
Dziś się czule całowały.
Daremnie ogrodnik smutny,
Przekładał im raz okrutny,
Który robocie jego zadawały;
Krety wcale nie słuchały.
„Przebóg! wstrzymajcie się proszę,
„Od tego rycia i toku,
„Jakież w tem macie rokosze?
„Pan Bóg wam nawet nieużyczył wzroku,
„Ślepe, prawdziwie nie wicie
„Czego chcecie, co robicie.“
Próżne gadanie: rodzaj zapyrzony,
Toczył we wszystkie strony.
Owszem do siebie tak Krety mówiły:
„Byśmy tylko przeszkodziły,
„Żeby przed zimą nie się niezrobiło,
„Tośmy już potem wygrały:
„Wiatr północny z całą siłą,
„Przyjdzie, i wszystko obali.“
Niebyły słowa daremne,
Dotrzymały Krety ciemne
Układy swoje zdradliwe;
Na próżnych usiłowaniach,
I ustawicznych psowaniach,
Minęło lato szczęśliwe;
Zniknęła wszelka otucha,
Zima, śnieg i zawierucha,

Zniszczyły wszelkie roboty.

Ucieszyły się niecnoty;

Biedny ogrodnik ciężko się zasmacił,

I dzieło swoje porzucił.

A tak przez Kretów, utraconym czasem

Ogród znowu stał się lasem,

I kto chciał to w nim polował,

Niszczył, wycinał, plądrował.



B A D A N I A.

*Oryginalna.***Szczury.**

W śród starego domu murów,
 W spiżarni dosyć przestronnej
 I od ludzi oddalonej,
 Mieszkał dzielny naród Szczurów.
 Miał podostatkiem sera i wędliny,
 I przepędzałby wiek złoty
 Gdyby nie koty.
 Lecz te bez żadnej przyczyny,
 Chyba, że mocniejsze były,
 Jak mogły Szczurów dręczyły.
 Ilekroć zrabowany sadła skład zbyt drogi,
 Ilekroć krwią niewinną zbroczone podłogi;
 Cierpiał lud, cierpiał i senat poważny.
 Niejeden tam Szczur odważny
 Pełen rycerskiej ochoty,
 Na ojczyzny swojej łonie,
 Umierając w chlubnym zgonie,
 Zostawił żonę i małe sieroty.
 Nakoniec w biednem siedlisku,
 Znieść już dłuższego niemogąc ucisku,
 Ciężkim wskrós żalem zdjęci,
 Rzekli rozpaczą przejęci:

„Lepiej zginąć znakomicie,
Niż prowadzić nędzne życie :
Raz ostatni sprobójmy jeszcze wojny losu.“ —
Wśród powszechnego odgłosu
Uzbroił się naród cały,
Starce tylko i dzieci w domach pozostały ;
Reszta co tylko żyje,
Walczy i bije.
Może mi niebędą wierzyć,
Zwłaszcza srogie przeciwniki,
Lecz ja fałszów nieśmiem szerzyć,
I mam za sobą kroniki,
Które świadczą, że przeciw porządku natury,
Nie raz w tej wojnie kotów biły Szczury;
Tyle w sercach rozpacz może !
Ale wyroków, któż się oparł mocy ?
O Szczury ! zguby waszej ja na was niezłożę ;
Sami walcząc, próżności szukały pomocy,
I u łasic i u myszy ;
Lecz choć wspólna sprawa była,
Każda z nich siedząc w zaciszy
Z jamy się nie wyruszyła.
Tak od wszystkich opuszczony,
I długiem bojem znużony,
Hufiec Szczurów był wycięty,
Sam Szczurogród nawet wzięty,
Wzięty poddaniem, nie szturmem,
I nim wojsko wyszło hurmem,
Tak rzekł hetman z siwą głową :
„Przysięgam na kocie słowo,

Nie mówię ja do was zdranie,
I włos wam z głowy niespadnie.“—
Ledwie to wyrzekł, alić co przedniejszych
W mieście w wojsku co celniejszych,
Zbrojnie w niewolą wzięto,
I do połapek zamknięto;
Jak zbójców jakich wiedziono,
I do więzienia wtrącono.
Długo oddzielnych ze światem,
Gdy stawiono strapionych ciężkiem udręczeniem,
Przed ogromnym majestatem;
Jeden kolegów imieniem
Tak rzekł: „Koty najjaśniejsze,
„Niezwyciężone, i najpotężniejsze!
„Niech dobroczynne pazury
„Raczą się schować na chwilę,
„Uległy nieszczęsne Szczury
„Zbyt przeważnej waszej sile;
„Obwinionym, nieszczęsnym, raz jeszcze przed zgonem,
„Niech wolno będzie prawdę powiedzieć przed tronem.
„Przebóg! powiedzcie na wszystkie was Bogi
„Zaklinam, jakiż nasz występki tak srogi?
„Jakaż zbrodnia, za którą oręż wasz zwyciężki,
„Wywiera od lat tylu wszystkie na nas klęski?
„Mścić się nad słabszym nieprzystoi tworem,
„Dawnych krzywd, nierząd był dla was pozorem;
„Prawda, w nieładzieśmy żyli,
„Samopas sobie chodzili,
„Zabraliście za te winy
„Trzy duże półcie słoniny.

- „Nauczeni tym przykładem,
„Innym poszliśmy śladem:
„Stanowim jak wy, i narody liczne,
„Rząd prawie samowładny i berko dziedziczne.
„Wy koty na to krzyczycie:
„Jak to, wy wolność gnębicie?
„Nieujdzie to wam bezkarnie;
„I zabraliście połowę spiżarnie.
„Niewiedząc w jakiej żyć dobie,
„Jak nareszcie począć sobie;
„Nie widząc winy ukrytej,
„Znowu wracamy do rzeczypospolitej.
„I to było przewinieniem
„Za które, o srogie Nieba!
„Rodu szczurzego powszechnem zniszczeniem
„Zapłacić pono potrzeba.
„Przebóg! chcecie nakoniec stan biedny osłodzić,
„Powiedzcie w jaki sposób można wam dogodzić.
„Niech nam panuje kto z rodu waszego,
„Dajcie nam kota jakiego;]
„Chociaż przeciwnej natury,
„Przysięgam, że mu wierne będą Szczury.
„Liczba się nasza może przez to zmniejszy,
„Ale niech Król Najjaśniejszy
„Trochę sobie poswywoli;
„Niechaj nas zjada powoli,
„Byle gdy inny kot nas będzie gonił,
On nas obronił.
„Postanówcie co chcecie, lecz stan nasz dzisiejszy,
„Nad śmierć samą nieznamiętniejszy.“

Skończył orator, i gdy pyszczek swój zawierał,
Łapką łzy rzewne ocierał.

W tem kanclerz kotów, duży, wyprężony

I szeroko napuszony,

Tak odpowiedział: — „Podli buntownicy,
„Tylu dobrodziejstw czarni niewdzięcznicy!
„Płacz wasz i skargi, i perory nudne,

„Równie obłudne.

„Wygraliśmy bo słuszna była nasza sprawa:

„Od wieków do spiżarni waszej mamy prawa.

„Bierzem ją, a na dowód względów nieprzebranych,

„Was przyjmujem za poddanych.“

Zamilkł: a kiedy z tyłu i w przedzie,

Warta oratorów wiedzie,

Jeden zawołał przeraźliwym głosem:

„O zbyt nieczuły nad braci twych losem

„Łasie i myszy rodzie obojętny,

„Niech nasz upadek będzie wam pamiętny!

„Wspomnijcie sobie, że choć się odwleka,

„Podobna naszej i was kolej czeka.“ —

B A J K A III.

*Oryginalna.***Okręt.**

Okręt miotany wiatrami,
Szedł jako tako w pośród nawałności,
I podróżni z żeglarzami,
Gdyby się byli trzymali w jedności,
Oparliby się tej burzy;
Lecz próżno: im bardziej Niebo się chmurzy,
Tem bardziej, zamiast czynienia,
Zwłoki tylko i mówienia.
Do żagłów! już skała bliska,
Wołali tam i owdzie rozsądni majtkowie,
Źle się kierujem, fala nami eiska,
Przebóg! mniej obfiei w mowie,
Bądźmy czynniejsi: tu na głos tak zdrowy
Mowca jeden dowodził, lecz nie czterema słowy,
Że chcąc zachować życie i majątek,
Trzeba roztrząsnąć wprzód wiatrów początek;
Przydaj rzekł drugi, z kąd wód wzrost i spadek;
Nie to, trzeci zawołał, sądząc że przypadek
Najrozumniej rozwiąże i pogodzi spory,
Patrzenie, pioruny jak huczą z łoskotem,
Postawić trzeba wprzód konduktory,
I zasłonić się przed grzmotem.

Nakoniec wszystkie zdania zważane bez zgody,

Bardzo może przyzwoite,

Na lądzie, lub w czas pogody,

Opóźniając ratunek, mowce znamienite,

Sternika i Okręt cały,

Pędem rozbiły o północne skały.

A tak mimo ratunku sposoby gotowe,

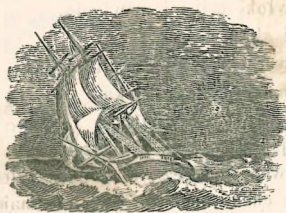
Wszystko zginęło przez zbytnią wymowę.

Czemuż przykładu tego nie użyjem?

Potrzeba nagli, moi przyjaciele,

Wierście, rozumu mamy nadto wiele,

Czas próżno tracim, o brzeg się rozbijem.



B A J K A XXXI.

*Oryginalna.***C h i Ń c z y k.**

Kiedy Gengiskan w rozbójniczej wojnie,
 Podbijacz, co u głupich ludzi tylko słynie,
 Biednych Chińczyków żyjących spokojnie
 Najechał, i okropne porobił pustynie:

Z żyznych pól, i miast kwitnących,
 Wśród cyprysów chłód dających,
 Między groby przodków lube,

Ojczyzny swojej oplakując zgubę,
 Smutny Mandarin się schronił.

Jeden z Tatarów i tam go dogonił;
 „Czemuż w tę gęstwinę ciemną,
 Rzekł mu, unikasz przedemną?

Wszak między nami stanęło przymierze,
 Wierz, ja ciebie kocham szczerze:

Prawda, maleńką zadałem ci bliźnę,
 Najechałem twą ojczyznę,
 Lecz to prawo wojownika:
 I cóż się to ciebie tyka?

Kochaj mnie proszę.“ — Gdy Chińczyk zdumiała
 Patrzał na niego w milczeniu,
 I w największem zadziwieniu,
 Rzecz mu Tatar: — „Jam człek podufały;

Prawda ; żem twoje prawa powywracał,

Dzieci twoje powytracał,

Ale to fraszka, i cóż ci to szkodzi?

To ci się nowych narodzi.

Kochać mnie możesz dlatego! “ —

Tu wśród żalu głębokiego

Rzecz mu Chińczyk, wskazując na groby :

„Tu koniec smutnej i pomyślniej doby;

Tam zaś, — w gwiaździste patrząc sklepienie, —

Tam Królowie i narody,

Odbiorą karę, albo też nagrody :

Ty dzisiaj moje strapienia

Niepowiększaj urąganiem,

Wkrótce obadwa u tej mety stanem,

Która kres wieczny oznaczy,

I twym tryumfom i mojej rozpaczy. “ —

1795.

B A J K A XIV.

*Oryginalna.***Orzeł i Robak.**

Ten co się królem mianuje nad ptakti,
Orzeł wylęgły w niebotycznej skale,
Wzniósłszy się w powietrzne szlaki,
Na rozciągniętych skrzydłach ważył się wspaniale;
I wzrok bystry po łące prowadząc szerokiej,
Ujrzał ptak noszący gromy,
Jak na wierzchołku topoli wysokiej,
Czołgał się Robak poziomy:
Spuszcza się na dół ciekawością zdjęty,
I pyta w jaki sposób niepojęty,
Robak stworzon do pełzania,
Bez skrzydeł i rozeznania,
Przez drzewo w sęki obrosłe,
Wlaził na miejsce tak wyniosłe?
Rzeknie mu Robak: „Co mnie po rozumie?
„Sięga wysoko, kto się czołgać umie.“ —

B A J K A XV.

*Naśladowana z Pilpaja.***Dwa Gołębie.**

Dwa Gołębie serdecznie kochały się z sobą.

Jeden z nich nudów dotknięty chorobą,

Sprzyskrzywszy sobie zawsze w domu siedzieć,

Przedsięwziął kraje dalekie odwiedzić:

Drugi mu rzecze: — „Chcesz mnie więc porzucić?

Chcesz brata twego zasmucić?

Nie wiesz, że oddalenie

Najsrońsze w życiu strapienie.

Nic dla ciebie okrutny! chyba złe przygody,

Prace i niewygody,

Podróż nakoniec, ciekawość twą zmniejszy.

Niemówię gdyby czas był pogodniejszy;

Zaczekaj, któż cię nagli? nie masz i godziny,

Jak kruk nieszczęście jakiejś oznajmiał ptaszyny:

Ty ztąd ulecisz, a mnie nieszczęsne przypadki,

Burze, Krogulce, i okropne siatki

Snić się będą; grad spadnie, czyli wiatr zawieje,

Ja pomyślę: co się tam z moim bratem dzieje?

Gdzie się obraca, ma też on wygodę,

I świeże ziarno i wodę? —

Ta mowa, (kogoż czuła przyjaźń nieprzenika)

Zachwiała nieco serce wędrownika,

Ale duch ciekawości niepochoamowany
Przemógł; rzekł więc: „Niepłacz mój kochany,
Ja za dni kilka zapewne powrócę,
A opowiadając bratu
Nowiny z wielkiego świata,
Nie jeden mu wieczór skrócę.
Zobaczysz, jak ci słuchać będzie miło,
Powiem, tam byłem, to mi się zdarzyło;
Trzeba też czasem być w tłumie,
Kto nie niewidział, nie też powiedzieć nie umie:“ —
To mówiąc czule z sobą się zegnali,
I skrzydełkami ściskali.
Ledwie uleciał, alie deszcz i grzmoty,
Schronienia szukać kazały od słoty.
Jedno tylko było drzewko,
I na tem usiadł, lecz czas był tak brzydki,
Że nasz gołąb zmókł do nitki.
Skoro się wypogodziło,
Z wody piórka swe osusza,
I w dalszą podróż swą rusza;
Widzi groch rozsypany daleko od ludzi,
Widzi przy nim Gołębia, to go nieco łudzi,
Przyleciał i wraz uwiązł: ziarno rozrzucone
Ukrywało pod sobą sieci rozstawione.
Szczęściem zbutwiałe znalazły się sidła,
Tak dalece, że dzióbkiem, nóżką, końcem skrzydła
Zerwał je choć niejedno straciwszy z swych piórek.
Ale go sroższy traw czekał,
Bo gdy wlekąc z sobą sznurek
Jak złodziej jaki uciekał,

Postrzegł go jastrząb; już godził nań z boku,
Gdy na jastrzębia orzeł spuszcza się z obłoku.

Ptaka korzystając z gonitwy,
I dwóch rozbójników bitwy,
Uleciał i siadł na poziomym dachu,
Pełen bojaźni i strachu,
Sądząc, że był się wszystkiego.
Alić chłopiec nie dobrego
Wymierzywszy z całej mocy
Ramięciem wymknęty z procy,
Ugodził biedną ptaszynę,
Która nieszczęść swych przyczynę,
Ciekawość swą przeklinając,
Wlekąc skrzydełko i co krok ustając,
Jak mogła szła pokryjomu
I zawlekła się do domu.
Powiedzieć niejestem wstanie
Jak słodkie było spotkanie,
I jak miłe potem chwile
Nagrodziły nieszczęść tyle.

Rochankowie szczęśliwi, których miłość wieńczy,
Niech was podobna ciekawość nie dręczy;
Bądźcie wy zawsze jeden dla drugiego
Okręgiem świata całego.

Ach! przyjdzie podróż, która każdego człowieka
Prędzej czy później czeka!
Dziś póki rokosz, nadzieje,
Póki wam się wiosna śmieje,
Wy sami w sobie szukajcie słodyczy,
Reszta niech się za nie liczy.

I jam też kochał w młodości mej kwiecie :
W tenczas za wszystkie bogactwa na świecie,
Za firmament, za jego blask sklepień gwiazdzistych,
Nie oddałbym tych gajów, tych strumieni czystych,
 Które pasterka moja uczęszczała,
 Które oczyma swemi oświecała,
 I gdzie przyjęła przysięgi me tkliwe.
Niestety! niewróć się chwile tak szczęśliwe!
 Gdy widok tylu piękności
Wabi oczy, i wznieca płomienie miłości,
Ja próżno będę wydawał wzdychania!
 W smutnej życia mego dobie,
 Mamże już powiedzieć sobie?
Przeszedł dla mnie czas kochania!

B A J K A XVI.*Oryginalna.***Kura i Indyczka.**

W miesiącu Lipcu, właśnie w owej dobie
 Gdzie największe są gorąca,
 Kura pod ścianą chłodu szukająca,
 Siedziała sobie.

Siedząc, myślała o sprawach domowych,
 O rywalkach coraz nowych,
 O niewiernym kogucie, i o niebożętach
 Kurczętach.

W długiem dumaniu o swojej niedoli
 Tak się mocno pogąrzyła,
 Iż nie postrzegła jak idąc powoli
 Indyczka tuż się zbliżyła; —
 „Jak się masz, rzekła, sąsiadko?
 Czemuż cię widuję rzadko?

Czemużeś smutna? jak ci służy zdrowie?“ —

Kura jej na to odpowie:
 „Jak można tak się na tym świecie lizie,
 Każdy ma swego mola co go gryzie;
 Tobie ma pani kochana,
 Nie jest bieda moja znana:
 W wyższym się stanie zrodziłaś,
 Inaczej się chowałaś, inaczej karmiłaś;

To mniejsza: Kura co myśli wspaniale,
Nieuważa na to wcale.
Czego najbardziej każda ci zazdrości,
To małżeńskiej szczęśliwości;
Co to za mąż twój nieoszacowany!
Mijam że w czarny aksamit ubrany,
Że szafiry i korale
Zdobią mu szyję wspaniale,
Że poważny, okazały,
Słowem Pan cały;

Lubo i to zaleta nie najpośledniejsza:
Lecz jaka jego enota najważniejsza,
To, że małżeńskiej wiary dochowuje,
I ciebie jednej pilnuje.

Nie tak jak ów mój kochany małżonek,
Co zadarłszy swój ogonek,
Z kokoszami bez przestanku
Tłucze się z samego ranku.

Mnie biednej (takie to niebios skaranie)
Ledwie sześć razy na dzień się dostanie;
Niedbalstwo takie przenika mi duszę,
Lecz coż robić? milczeć muszę.“—

Zadziwiona Indyczka na podobne żale,
„Powiem ci, rzecze, prawdę poufale,
Że twoje skargi nie są bardzo silne;
Często pozory są mylne:

Tobie się stan mój wydaje szczęśliwy,
Mąż mój wierny i cnotliwy;
Tak to na świecie: zazdrościem cudzego,
A nie znamy szczęścia swego.

Niewierny Kogut, i często cię zdradza,
Lecz ileż cnoty wadę tę nagradza;
 Jak grzeczny, jak wesoły,
Jak każdym ziarnem, i małym kamykiem
 Dzieli się z tobą na poły!
 Możnaż go równać z Indykiem,
 Co sobą tylko zajęty,
 Chodzi smutny i nadęty;
I gdy mi nawet chce prawić słodyczy,
 To tak przeraźliwie krzyczy,
 Iż się zdaje
 Że mię łaje:
 A nawet względem miłości,
 I małżeńskiej powinności,
 Co mi za kochanie jego!
 Więcej dmuchania jak czego.
Słowem moja kochana, gdy uczą przykłady
 Że nie ma męża bez wady,
Lepszy zalotny, gdy grzeczny, rozumny,
 Niż zimny, głupi i dumny.

B A J K A XVII.

*Oryginalna.***Skoczek na Linie.**

W maleńkiej wiosce pod samą Weroną
 Mieszkał rolnik jeden z żoną,
 Człek pocziwy, rozsądny, nawet na wieśniaka;
 Miał on syna jedynaka,
 Który zamiast pociechy przy ubogim bycie,
 Smutkiem zaprawiał ich życie.
 Był to frant wielki, wielkie nic dobrego,
 Słowem mówiąc, do niczego.
 Lat piętnaście kończył blisko,
 Furbo było mu nazwisko;
 Ojciec go naprzód chciał widzieć rolnikiem,
 Potem żołnierzem, potem rzemieślnikiem;
 Odrzucił wszystkie te stany.
 Rzekł mu nakoniec: „Ale mój kochany,
 „Co z ciebie będzie? ubogiegoś rodu,
 „Pracuj, jeżeli niechcesz nmrzeć z głodu.“ —
 Niepodejrzana jest ojcowska rada.
 „Tata!“ nakoniec Furbo odpowiada
 W ułożonej sztucznie minie,
 „Ja chcę tańcować na Linie
 I pokazywać rozmaite sztuki,
 Racz kuglarzowi dać mnie do nauki.“ —

Zmartwiony dziwną tą ochotą syna,

Długo ojciec napomina;

Przekłada, że to stan nie szacowany,

I na przypadki wydany.

Próżno, bo synek trwał w swoim wyroku:

„Wielu to, rzecz, urodzonych w nędzy,

Skacząc po linie, przyszło do pieniędzy.“ —

Jał się więc uczyć, i niewyszło roku,

Wszystkich współ-uczniów celował.

Właśnie jarmark następował,

I po ulicach ogłosiły druki,

Że Furbo będzie pokazywał sztuki.

Lud się na rynek gromadzi,

Gdzie już zawieszona lina;

Wszyscy zręczność widzieć radzi,

Furbo tańcować zaczyna.

Zadziwia wszystkich swą giętką postawą,

Waży się raz na lewą, drugi raz na prawą;

Łamie się w rozmaite strony,

I kręci się, i wywija

Ojciec krzyczy przełęczniony:

Synu! chodź prosto, bo w strachu szyja.

Drudzy wołają przeciwnie,

Ach! jak wybornie, przedziwnie,

Jak się wykręca, jak śmiały,

To djabeł cały!

Buja wzruszona raz linka;

Furbo poklaskiem pysniejszy,

Chcąc już zrobić skok trudniejszy,

I ostatniego wywinąć kominka,

Gdy najbardziej oczy nęcił,
Padł na ziemię i kark skrzył.

O! wy tancerze rozliczni,
Prawni i polityczni,
Co się na wszystkie strony wywijacie,
W śmierci Furba przykład macie:
Niewachajcie się, ale pewną nogą
Postępujcie prostą drogą.



B A J K A XVII.

*Oryginalna.***Słowik, Wróbel i Ziembka.**

Miłosny Słowik i Wróbel zalotny

W młodziuchnej Ziembce razem się kochali.

I siedząc w krzaku, gdzie był gaj samotny,

Jak mogli tak się oba zalecali.

Wiosenny śpiewak w tonie słodko-tkliwym,

Chciał ją przekonać o ogniu niezmiernym,

Będę ci, mówił, i czułym i wiernym,

Byleś mnie chciała uczynić szczęśliwym.

Głos mój nie wątpię znanym już jest tobie,

Bogowie chętnie słuchają go sami,

Odtąd go twojej poświęcam osobie,

Wysławiać będę pomiędzy gajami

Twe imię, wdzięki i twoje przymioty,

Twój wzrok poważny i pełen pieszczoty;

Twoją urodę, a echa odgłosne

Powtarzać będą me pienia miłosne.

Słowem byś szczęśliwą była

Wszystkie me kroki będę do tego stosował;

A ja cię, przerwał Wróbel, tak będę całował

Na te słowa wraz cała sprawa się skończyła,

Favore szarego ptaka;

Z kwitkiem puszczonego śpiewaka.

Tu koniec mojej powieści:
Jeżeli ciekawy kto moralnej treści,
Wy zwłaszcza ładne kobietki,
Pamiętajcie ją dobrze, znajcie jej użytki:
I kiedy tkliwych miłośników grono,
Z miną czułą i strapioną,
Łącząc za wami wszędzie,
Wzdychać i prawić androny wam będzie,
A może i wiersze swe głosić;
Umieście trwałość nad czczy blask przenosić.
Próżne wzdychania, wiersze i ton tkliwy,
Talent Wróbelka, to talent prawdziwy!
Nie jedna Kloris otwarta i śmiała,
Przyzna że Ziemia wielki rozum miała;
Oprócz atoli jednego zdarzenia:
To jest gdyby się znalazł plak bogaty,
Coby miał gęste dukaty,
Na ten czas postać rzeczy się odmienia;
W ten czas on pierwszy wśród płaszej młodzieży,
I Wróbla nawet pożegnać należy.

B A J K A XIX.*Oryginalna.***Trzy Pajaki i Mucha.**

Niebaczna Mucha na własne swe życie,
Samopas sobie po izbie latała,
Niebaczna, bo nic na to nie zważała,
Że ze trzech kątów, a nawet nie skrycie,
Trzy jej Pajaki żarłoczne i chciwe,
Stawiły sidła zdradliwe.
Wkrótce stworzenie skrzydlate,
Ślepotę swą niesłychaną,
Przez ciężką opłaca stratę.
W gęstych sieciach uwikłaną,
Duszą Pajaki niebogę:
Ten skrzydło, ów lewą, ów rwie prawą nogę
Nareszcie kiedy w ostatniej już toni,
Nieszczęsna Mucha jak może się broni,
Zdrajcy pomiędzy siebie ją rozdarli,
I w mgnieniu oka pożarli.
Zginęła Mucha, lecz żarłoczność chciwą
Łupem jej zbójcy bardziej rozdrażnili;
Cóż się więc stało? po niejakej chwili,
Naprzód zaczęli patrzeć na się krzywo,
Potem niewiedzieć z pozoru jakiego
Dwóch się łączy na trzeciego.

Ten i ów z siły całemi nań wpada,
Zwycięża, zwala i zjada.
Každyby przysiągł, że Pajaki srogie,
Nietylko Muchę niebogę,
Ale własnego zjadłszy nawet brata,
Nie będą klócić zakątnego świata;
Lecz syte pastwy i krwawego boju,
Żyć zaczną w zgodzie i długim pokoju.
O jak się myli kto podobnie wnosi!
Nie wie, że pyszny równego nie znosi;
Jakoż, im każdy po zwycięztwie głośnym,
Wzniósł się w powagę, siły i szczęśliwość,
Tem większą w owym sąsiedzie zazdrośnym,
Wzbudzał nienawiść, gniew i zapalczywość:
Ni ten ni ów się nie sądzi bezpiecznym,
Do tego stopnia wściekłość się zapala,
Iż każdy raczej w boju ostatecznym
Wolał ledz trupem, niż cierpieć rywala.
Spór się niemogąc zakończyć sojuszem,
Okropna walka z obu stron się zwodzi;
Tak niegdyś Cezar z dzielnym Pompejuszem,
(Jeżeli się małe z wielkim równać godzi).
W sławnych po dziś dzień równinach Farsali,
Los świata ostrzem miecza rozstrzygali.
Koniec tej bitwy do zgadnięcia snadnym:
Pajak mocniejszy czyli też szczęśliwszy,
Nieprzyjaciela ze szczętem zgnębiwszy,
Ujrzał się jeden panem samowładnym.
Nadęty ciągłem dotąd powodzeniem
I głupią pychą robak zaślepiony,

Tak się jął chlubić siedząc rozkraczony :
„Świat się uciszył pod mojem ramieniem ;
„Kędy się izba kończy i zaczyna,
„Gdzie spojrzę , wszystko moja pajęczyna ;
„I cóż położy potędze mej tamę ?
„Niczem przedemną nawet Bogi same :
„Jam jeden tylko i mądry i dzielny,
„Niezwyciężony nawet nieśmiertelny !“
Kiedy tak bluźni , dziewczyna służąca,
Przypadkiem pokój ów zamiatająca,
Widzi ścianę okrytą pajęczym rozpięciem :
Natychmiast jednym miotły pociągnięciem,
Pogromcę świata bez litości gniecie,
I wraz z państwem przez okno wyrzuca na śmiecie.

B A J K A III.

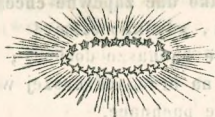
*Oryginalna.***Zródła i Strumyki.**

W przyjemnej jednej dolinie
 Okrytej zewsząd gajami,
 I ziołami i kwiatami,
 I którą rzadko przechodzień ominie;
 Czystych strumyków tysiące,
 Wiły wodę szemrzące.
 W pośród nich zdroje niektóre,
 Wyniosłą przebiegłszy górę,
 Spychając kryształy czyste,
 Wieszaly na powietrzu pasma przezroczyste;
 Lecz gdy tak miłą doliną,
 Wody te oddzielnie płyną,
 Gdy się tak nikczemnie sączyć
 Wodom wszystkim uprzykrzyło,
 Żeby ich bliskie nie zabrały zdroje,
 Umyśliły wspólną siłą
 Wraz pozbierać wody swoje,
 W jedno się koryto złączyć,
 Zlać razem zdroje dalekie,
 I wielką utworzyć rzekę.
 Zamysł zaiste wspaniały,
 Godzien największej pochwały.

Jakoż przejęci radością,
I pyszni przyszlą wielkością,
Zdroje, Źródła i Strumyki,
Tysiączne wydały krzyki.
Jeden chcąc dać przykład z siebie,
I przywieść drugich do zgody,
Ja rzekł, ku wspólnej potrzebie
Dam ostatnią kroplę wody;
I choćbym w szczupłym miał oschnąć korycie,
Chętnie poświęcę me życie.
Drugi w żarliwym zapale,
Nadawszy małe swe fale,
Ja rzekł, gdy łono moje otworzę,
Nie rzekę zrobię, lecz morze.
Každy się z wielkiem zdziwieniem,
Patrzył nad tem uniesieniem,
I echa co je słuchały,
Gorliwość tę powtarzały.
Kiedy czas przyszedł pełnić obietnice,
Gdy Strumyki i Krynice,
Zlać mieli w jedno koryto,
Každy cząstkę przyzwoił;
Strumyki głośno krzyczały,
Żeby Źródła przykład dały.
Posłuszne Źródła, Krynice,
Wraz oddały część swą rzyce;
Lecz choć w wody dostatniejsze,
Że w liczbie swej były mniejsze,
Tą tak ofiarą obfitą,
Nie napełniły koryto.

Kolej przyszła na Strumienie,
Które choć szczupłe ale niezliczone,
Przez cząstek swoich złączenie
Mogły dopełnić miarę naznaczoną.
Lecz nie wiem czyli z nagannej ochrony,
Te tak gorliwe Strumyki,
Zamiast iść prosto do rzyki,
Jęły się kłócić w rozmaite strony,
I przez żalosne mruczenia,
Szerzyć swoje zażalenia;
Mówiąc: „My wszystko dać zapewne chcemy,
Ale coż, gdy niemożemy!
Szczupłe są nasze dochody;
Wszak na brzegach naszej wody
Rosną konwalie i róże pachnące,
Musimy je wszystkie żywić;
Ach jak się będą dziwić,
Przez jakie żale, ach przez jakie krzyki,
Przyjmą nas pozostałe po domach Strumyki!“ —
Słyszac te słowa wśród srogiego wrzasku,
Zdrój toczący się na złocistym piasku,
Zdrój w obrady nie wchodzący,
Spokojnie sobie ciekący,
Rzekł im: — „Kto wielki zamysł przedsiębierze,
Niechże ma stałość po temu,
Niech co obiecał wykonywa szczerze;
Inaczej światu całemu
Letkim się tylko pokaże:
Nie wierny przysiędze, cnocie,
Zbyteczny w słowach, a zimny w istocie,

Hańby swej nigdy nie zmaże.
 Tylko skromnie sączone, pośród ciągłej zgody,
 Strumyki stworzyć mogą braterskimi wody,
 Rzekę, co tocząc bałwany niezmiennie,
 W morza przepaści bezdenne,
 Przez złączone nurty swoje,
 Zadziwi swą wielkością okoliczne zdroje.“ —



B A J K I.

KSIĘGA SZÓSTA.

B A J K I.

K S I Ę G A S Z O S T A.

B A J K A I.

Oryginalna.

Lew, Niedźwiedź i Komar.

Z krajów szczęśliwych, gdzie ni mniej ni więcej
Zima trwa dziesięć miesięcy,
Niegrabny niedźwiedź znudziwszy się w borze,
Ni pytany ni proszony,
W cieplejsze przywłókł się strony.
Było to właśnie w tej porze,
Gdzie dnie pogodne i ciepłe wieczory,
Zażywiają wszystkie twory:
Gdzie skrzydlate robaczki ujęte roskoszą,
Tłumem się w koło unoszą,
Wolno się bawić każdemu:
Nie tak się zdało gościowi nowemu.

Jał więc machać łapami i rzucać się cały;

W tem go spotkał Lew wspaniały:

„Na kogóż, pyta, tak okropna kara?

I któż śmiał waszą niezgrabność obrazić?“ —

Niedźwiedź odpowie: — „Zabijam Komara,

Śmiał po uchu mojem łązić.“ —

„A jam rozumiał, — rzecz Lew otwarty, —

Że tygrysy lub lamparty

Gotujesz się wpół rozdzierać.

Możeszże gniew twój wywierać

Nad robakiem co nawet nie wie o swem błędzie?

Na mnie gdy Komar usiedzie,

Zemsty to mojej bynajmniej nie wznieci,

Wstrząsnę grzywą i uleci;

Lecz każdy podług siebie postępuje,

Pastwi się dziki, wspaniały daruje.“ —

BAJKA II.

*Oryginalna.***Pęcherz i Kłos.**

Na sterczącym w płocie kole,
Zatknięto Pęcherz nadęty,
Zaraz za płotem ciągnęło się pole,
A na niem został Kłos jeszcze nie żżęty.

Zewsząd miotany wiatrami,
Taką do Kłosu Pęcherz zaczął mowę:

„O ty nikiemny pomiędzy tworam,
„Słusznie że schyłasz przedemną twą głowę,
„Widzę żeś słyshał o mym wielkim rodzie,
„Patrz jak ogromny jestem w mym obwodzie,
„Z jak szumnym ruszam się trzaskiem,
„I jak pięknym lśknę się blaskiem.
„Możeż się podłe zboże równać do mnie?“ —

Kłos mu na to rzecze skromnie:
„Ja się bynajmniej z tobą nie zrównyвам,
„I czem ty jesteś po mowie zgadyвам;
„Gardzisz mną, nie wiesz pod postacią marną,
„Że plemię ludzkie żywi moje ziarno:
„Jestem ja szczupły, lecz zewsząd nie próżny,
„Ty, powiedz na coś dobry lub usłużny?
„Jaki jest w tobie użytek lub cnota?
„Coż cię napęlnia? czy wiatr i brzydota.“

Moi Panowie! każdy z was zgaduje,
Jaki się naród w tej Bajce znajduje;
Pęcherzem człowiek w próżności zbyteczny,
A skromnym Kłosem człowiek użyteczny.



B A J K A R T.

*Oryginalna.***Jeż i Róża.**

W ogrodzie świeżo ozdobnym klombami,
Gdzie był wody potok żywy,
Jeż nastrzępiony ostremi kolcami,
Posuwał krok swój leniwy:
W pośrodku krzewów w około rosnących,
Co się w różne barwy płonia,
Róża wabiła wszystkich przechodzących,
Jasnym szkarłatem i przyjemną wonią.
Wdzięk jej nie uszedł przed uwagą Iża;
Podniósłszy oczki zwolna się przybliża,
A zawsze sobie pochlebiać gotowy,
Tak się odzywa do kwiatów królowy:
„Nadobna różo! cieszę się niezmiernie,
„Że tak jesteśmy podobni do siebie,
„Ja noszę kolce, a ty nosisz ciernie,
„Straszni jesteśmy w potrzebie,
„Każde z nas tknięciem ciężką ranę zada.“ —
Róża z uśmiechem tak mu odpowiada:
„Mój ty najeżony Panie!
„Twe tak nowe porównanie,
„Może jest grzeczne ale nie zbyt wierne;
„Ja w nas znajduję różnice niezmierne.

„Nie przeczę tego: na pączki me jasne
„Gdy kto śmiało ściągnie dłoń,
„W ten czas ja w własnej obronie
„Czasem go z letka zadrasnę,
„I wraz to klucie wdzięczną wonią słodzę;
„Lecz ty posepnie łażący po drodze,
„Ty bez uwagi, bez względu żadnego
„Kolesz aż do krwi, bodzisz do żywego.
„I z tą niechaj to ciebie nie uraża,
„Świat mnie i ciebie inaczej poważa:
„Mnie miłość żąda, mną się piękność chlubi,
„A ciebie Jeżu? ciebie nikt nie lubi.“ —

Młodzieży w płytkich żarcikach zbyt chyża
Naśladuj Różę, ale nigdy Jeża,
Jeżeli z ust ostre słówko się wyśliźnie,
Niech grzeczność balsam niesie małej bliźnie;
Niechaj ta prawda wszystkim będzie wspólną:
„Można zadrasnąć, lecz ranić nie wolno.“

BAJKA IV.

*Naśladowana.***Zając i wielu Przyjaciół.**

Największe w życiu i szczęście i chluba,
Dobry przyjaciel i kochanka luba:
Kto wszystkich kocha, kto zawisł od wielu,
Rzadko w potrzebie znajdzie przyjaciela.
W niewielkiej kniei Zając jeden bury,
Grzeczny, pocziwy i dobrej natury,
Po łąkach w lesie, każde żywe zwierze,
Kochał serdecznie i szczerze:
Jak mógł każdemu zwykł się zasługiwać,
I przyjacielem każdego nazywać.

Raz kiedy wypadł pod same świtanie,
Scinać traweczkę pełną świeżej rosy;
Słyszy myśliwców trąbkę i odgłosy,
A nawet słyszy dość blizkie strzelanie.
Leci, zaledwie czując w sobie ducha,
I znów przypada, znów bieży znów słucho;
Sadzi przez doły, błonia i obszary,
Kręci się wkoło by stropić ogary,
Aż zmordowany, przelękniony srodze,
Zaledwie żywy upada na drodze.

Jakże się cieszył w tej ciężkiej potrzebie,
Gdy naprzód konia spostrzegł blisko siebie!

„Ach! pozwól, rzeczce, niech na grzbiet twój wsięde,
Niechaj przyjaźni życie winien będę.

Biegnać, me tropy psyby wraz zwietrzyły,

Przyjacielowi każdy ciężar miły.“—

Koń mu odpowie: — „Ach mój ty niebogo,

Boleję patrząc, jakaś zdjęty trwogą;

Bądź dobrej myśli, ujdiesz ztąd za chwile

Twe przyjacióły są tu zaraz w tyle.“ —

Dalej szedł buchaj, Zając go zaklina:

„Niemogęć służyć, lecz niemoja wina, —

Rzekł mocarz trzody: — świadkiem każde zwierze,
Jak ja cie lubię, jak cie kocham szczerze.

Niebędę długo przed tobą się szerzyć,

Przyjacielowi wolno się powierzyć;

Miłość mię woła: krowa z zakrzywionym rogiem

Już czeka na mnie, za tym siana stogiem.

Kiedy z kochanką, mam szczęścia kosztować,

Wszystko na świecie musi ustępować;

Porzucać ciebie jest trochę niegrzecznie,

Koziół co idzie unieść bezpiecznie.“ —

Koziół uważał, że Zając był chory,

Że miał ból głowy, puls mocny i skory:

Grzbiet mój zbyt twardy, trzęsę gdy klusuję.

Patrz, z ciepłą wełną baran postępuje.

I baran także umiał się wyprosić,

Na grzbiecie ciężkie runo musiał nosić:

Bał się o siebie, gdyż pies zagniewany

Zarówno zjada koty i barany.

Nareszcie woła na ciebie biegać;

Ratuj mię proszę! — a ciebie beczące:

„Ja mam się mieszać, ja jedno z młodzieży,
Do rzeczy która do mnie nienależy?

Starsi silniejsi co ci niepomogli,
Za mą przysługę krzywić by się mogli:
Daruj, jeżeli nie mogę cię wspierać!
Niestety! wszyscy musimy umierać!

Znasz moje serce; ach jak w krótkiej dobie
Będziemy wszyscy płakali po tobie!
Niech przyjaźń moja, zgon ci twój osłodzi,
Żegnam cię: przebóg już pisarnia nadchodzi!“



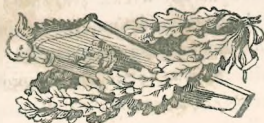
B A S T A V.

*Naśladowana.***Szczęście i Nieszczęście.**

Szczęście z nieszczęściem są bracia rodzeni,
 Lecz nienawiścią od wieków zwaśnieni.
 Fortuna i traf ślepy ojcami ich byli,
 Ci zawsze w zgodzie i przyjaźni żyli;
 Nieszczęście z miną niepocieszną wcale,
 Každy jak gdyby co złego traktował;
 Lecz z szczęściem pięknem patrzącem zuchwale,
 Každy się pieścił, i jak mógł to psował.
 Jedno i drugie gdy przyszli do wieku,
 Gdzie się młodemu uczyć trzeba człeku,
 Do szkół najlepszych, jakie tylko znali,
 Rodzice synów oddali.
 Nieszczęście miało rozum, pamięć żywą,
 I wszystko łatwo chwyciło;
 Lecz szczęście głupie, i bardzo leniwe,
 Nic niesłuchało, nie się nie uczyło.
 Do ciągłej pracy przez nauczyciele,
 Biedne nieszczęście bywało muszone;
 Przeciwnie, drogie życia swego chwile
 Przespąło szczęście, roskoszą zemdlone.
 Raz nawet mądrość dając mu pierwszeństwo,
 Sklonność do niego powzięła niemalą;

Lecz głupie szczęście kochało szaleństwo,
Czystym jej ogniem wzgardzało.
Každy nieszczęściu przymawia i łaje,
Bo było tęskne, brzydkie i nikczemne;
Lecz pycha którą nauka nadaje,
Wznięca pociechy tajemne.
Szczęście na wszystkie wyuzdane chuci,
W młodym się wieku starzało;
Niemoc choroby i co starość smuci,
Przed czasem jeszcze doznało.
W śród niebezpieczeństw, prac i niewygody,
Nieszczęście zdrowie krzepiło,
Niezrażając się żadnemi zawody,
Stałością wszystkie zawańczyło.
Nakoniec jedno z chęci, drugie z nudy,
Umyślili się ożenić,
I gospodarstwa słodycze i trudy,
Za wolne życie zamienić.
Szczęście znalazło partye przecudne,
Z wielkim posagiem i z dawnego rodu;
Nieszczęście w swoim wyborze mniej trudne,
Niepytało się jak wiele dochodu?
Szczęście niestałość w stan małżeński wzięło,
I ujrzało się wkrótce nieszczęśliwem;
Biedne nieszczęście nadzieję pojęło,
I sądziło się szczęśliwem.
Wy w powodzeniach ślepi i niewzględnai,
Bierzcie naukę z tej powieści wątku,
Bądźcie w światowej rokoszy oszczędni,
By lepiej darów kosztować rozsądku.

Roskosz zdrożnego wymysłu jest płodem,
Zawisła od chwil i od przywidzenia :
Rosządek Bożkim sądzi się być rodem,
Źródłem trwałego jest uszczęśliwienia.



B A J K I VI.

*Oryginalna.***Zefir i Piwonia.**

Zaledwie zorza różową powłoką

Krasila niebo, rozpędzając cienie:

Ledwie skowronek wzbiwszy się wysoko,

Witał świt blady, przez radosne pienie,

Gdy rosę z skrzydeł strząsnawszy złocistych.

Zerwał się Zefir lotem niecierpliwym,

Dążąc gdzie wczoraj w gaiku cienistym,

Był z Różą swoją szczęśliwym.

W nadziei że ją znowu pieścić będzie,

Lata w około i szuka jej wszędzie;

Nie wie nieszczęsny, że Róża kochana,

Ręką pasterza przed chwilą zerwana,

W krótkce Ismeny zdobić miała włosy;

On jej niewidząc, przeklina swe losy:

Kiedy Piwonia co tam blisko rośnie,

Co nań od dawna spogląda miłośnie,

Próżnością biedną napoiwszy głowę,

Chciała się udać za kwiatów królowę: —

„Luby zefirze! — zawoła nań tkliwie, —

„Jam Róża której szukasz tak troskliwie,

„Przyjdź na mem łonie omdlewać z miłości.“ —

Przyleciał Zefir, lecz grubej chytrłości

Niedał się uwieść, i z miną zmarszczoną
Rzekł jej: — „Nie jesteś w przebraniu twem zręczną,
„Żeby być Różą, nie dość być czerwoną,
„Trzeba być wonną i wdzięczną.“ —



B A J K A VII.

*Oryginalna.***Zółw i dwa Pawie.**

Na dziedzińcu Puławskim dwa chodzące Pawie

Okazałe w swej postawie,

Migając każdym ogona obrotem,

Jasnym lazurem, szmaragdy, i złotem,

Ranku jednego przeciw sobie stały,

I niewiem oczem myślały.

Alić znienacka raptowne ruszenie

Zrodziło w obu wielkie zadziwienie:

Więc z ciekawością z trwogą połączoną,

Z głową do ziemi schyloną,

Z otworzonemi na poły dziobami,

Przypatrują się i depczą nogami.

Zwierz, co w obudwu takie wzniecił trwogi,

Był to Zółw leniwo-nogi,

Który, jak gdyby szło o losy świata,

Głęboko myślał przez całe dwa lata,

Czyli miał wyleźć, czy w sadzawce zostać:

Wylazł nakoniec, a niezgrabna postać,

Niezmiernie Pawiów zajęła uwagę.

Zółw nasz do głupstwa łączący powagę,

Łeppek wyścibia i oczki otwiera,

Na wszystkie strony stokroć się obziera,

Potem łapkę wystawia a przez chwilę długą
Dumając, dalej wystawia i drugą;
Znowu rozważa i myśli, aż przecie
Poznał, że trzeba wystawić i trzecie;
Nakoniec, rzekł tę prawdę niesłychaną, —
Kiedy czwartej nie ruszę, na miejscu zostanę.
Rusza więc, małym postępuje krokiem,
A Pawie za nim z wytrzyszczonym okiem
Idą i mówią, co to z tego będzie?
Najrozumniejsze w całym zwierząt rzedzie
Jest to zapewne; patrz co za powaga,
Co za roztropność, rozmyśl i uwaga;
Jak jest ostrożny na przypadek wszelki,
Podróży jego cel być musi wielki.
Nie zgadły Pawie, bo z całym mozołem,
Z całą tą flegmą i z spoconem czołem,
Z całą nakoniec wahaną się enotą,
Gdzież Żółw nasz zalażł? o to zalażł w błoto. —

Niech nam idącym życia tego ścieszką,
Czynna roztropność będzie towarzyszką:
Rozlazłość choć się rozumem nazywa,
Źle zaprowadzi i wstydem okrywa.

B A J K A VIII.

*Oryginalna.***P o r ę c z e.**

Kalif Bagdadu, co rządził pół światem,
 Jadąc przez most nad Eufratem,
 Postrzegł na obiedwie strony,
 Szereg poręcz wyniesiony:
 „Wezyrze, woła, z czyjejże to rady,
 Te nowe szranki, te jakieś zawady?
 Ja ich nie lubię: niechcę w mym zawodzie
 Coś spotykać na przeszkodzie,
 Te śmieszne belki, mam za nic;
 Niecierpię w niczem, ni szranków ni granic.“ —
 „Najwyższy Panie, — Wezyr odpowiada, —
 Nie jest w tem żadna zuchwałość,
 Twe bezpieczeństwo, twoją i swą całość,
 Lud w tych poręczach pokłada.
 Zyją jeszcze tego świadki
 Jakie okropne przypadki
 Zdarzały się dla tego, że poręcz niebyło;
 Nieraz pospólstwo kiedy się zburzyło,
 W kłótniach swoich, uniesione,
 Spychało się w tę rzekę, jak gdyby szalone.
 Sroższe zdarzenie możem w dziejach liczyć;
 Jak Sułtan znany przez swoje zapędy,

Konno przejeżdżając tędy,
Tak jał rumaka bez litości ćwiczyć,
Tak strzemionami dręczyć,
I batem męczyć,
Że bestyja na kiel wzięwszy,
Okropnie dęba stanąwszy,
Z szanownym jeźdźcem w nieszczęsnej godzinie,
Rzuca się na łeb i w tych nurtach ginie:
A wszystko to się zdarzyło,
Że tych poręczy nie było.
Racz tedy przyjąć Najjaśniejszy Panie,
To szczere moje wyznanie:
Że gdy, czyli to Rządzący,
Czy lud pod nim zostający,
Z granic rozsądku wybiegą,
Te ich poręcze od zguby ustrzegą.

BAJKA XX.

*Oryginalna.***Motyl i Ślimak.**

Leciuchny Motyl w nowe odzian szaty,
Złotem, jasnymi lśknący się szkarłaty,
W miesiącu Maju po pięknym ogrodzie
Latał wesoły, a w rączym zawodzie
Z kwiatów na kwiaty, od krzaka do krzaka
Bujając, postrzegł biednego Ślimaka:
Ten nic nikomu nie szkodząc na świecie,
Lazł z domikiem swoim na grzbiecie,

Piaskiem sypaną drożyną.

Gdy Motyl z hardą i wyniosłą miną
Woła na ogrodnika: — „Niedbały człowiecze,
Patrz w twym ogrodzie jaki gad się wlecze;
Możesz ten Ślimak, stworzenie nikczemne,
Plamić twe smugi i kwiaty przyjemne?
Wyrzuć go za płot, albo zadepcz nogą.“ —
Ślimak z krwią zimną na tę mowę srogą
Tak odpowiada: — „Los ślepy cię zwodzi,
Tobie być pysznym wcale się nie godzi:
Przypomnij cały życia twego wątek,

A najbardziej twój początek;
Z bogactwy co się dziś na tobie świecą,
Czem byłeś wczoraj? podłą gąsienicą:

Ja zawsze jeden, pod tym niskim krzakiem
Urodziłem się i umrę Ślimakiem.
Kto drugim gardzi i z bogactw się puszy,
Podle zrodzonej cechy nosi duszy.“ —



B A J K A X.

*Oryginalna.***Osły przy Rogatkach.**

Do rogatek w nowym świecie,
Gdzie celników jest zagroda,
Przyszła z jukami na grzbiecie,
Pocziwych Osiołków trzoda.
Czujni strażnicy bez zwłoki,
Z pilnością ścisłą i drobną,
Jęli przetrząsać tłumoki
Każdego Osła osobno;
Ach jakież było zdziwienie
Kiedy spostrzegł strażnik stary,
Że każde biedne stworzenie
Dźwigało inne ciężary.
Ten nosił mantelzak wążki
W nim listy zroszone łzami,
Portrety, włosy, podwiązki,
Małe obrączki z datami.
Za nim Osioł rosły, żywy,
Przyniosł większe jeszcze dziwy,
Rozmaitej farby wstęgi,
Jedne gładkie drugie w pręgi,
Tuziny małych krzyżyków,
I piętnaście metalików!

Wyglądał wpośród tych sprzętów
Projekt, jak płaszcząc się wszędy,
Bez zasługi i talentów
Mieć bogactwa i urzędy:
Przy tem wszystkiem niosło zwierze,
Nadęte wiatrem Pęcherze.
Dalej przyszedł Osioł kary,
Gięły go straszne ciężary,
Dekreta, pozwy, repliki
I to wszystko, co prawniki
Gdy ich pieniactwo ułudzi,
Wala na nieszczęsnych ludzi.
Obok wolno szedł Osiołek
Na nim u ostrego grzbietu,
Wisiał maleńki kociołek
Z garścią siana i osetu;
Zamiast czapraka, odziany,
Kawałkiem starej łachmany,
Z zwieszonem nchem, i zwieszoną głową
Odzian krepą pogrzebową,
Przystąpił Osiołek smutny:
Temu wyrok zbyt okrutny,
Wziął dawniej lube rodzice
Dziś ukochaną oślicę.
Patrząc na nieszczęsną tłuszcze
Rzekł strażnik z twarzą żalowaną:
„Nie wielkie szkody urosną
Gdy was bez opłaty puszczę;
Dosyć cła, dosć dla was kary
Dzwigać podobne ciężary.“ —

Nie jeden pewnie z słuchaczy
Spyta, co ta bajka znaczy?
Ach moje Państwo czyż tego nie wiemy,
W tych Oślach siebie widzimy:
Tłumoków naszych niezliczone mnóstwo,
Miłość, wyniosłość, pieniactwo, ubóstwo,
I smutna starość z opieszalym krokiem,
Wszystko jest naszym tłumokiem.
Z ciężkich przeznaczeń, ciężko się wyprosić
Gdy więc człek musi sakwę swoją nosić,
Czy los, czy na grzbiet sam ją sobie włoży,
Niechaj więc każdy w tej życia podróży
Choć rzadko ulgę znajduje
Powoli sobie kłusuje.

B A D A N I E.*Oryginalna.***Ropucha i Robaczek świecący.**

Na murawie w czas gorący
Kiedy noc zapadła głucha,
Błyszczał Robaczek świecący;
Widzi to brzydka Ropucha,
I wraz nań pryska swe jady.
„Jakież me zbrodnie i wady —
Pyta Robaczek już w zemdlonej mowie —
Że na mnie śmierć tę wymierzasz?“ —
„Dość już, — Ropucha odpowie —
Dosyć, że światło rozszerzasz.“ —

Dnia 16. Lipca 1819.

B A J K I

*Oryginalna.***Dzieci na lodzie.**

Gdy wód kryształą mróz już ujął ściśle,
Chłopcy na łyżwach biegali po Wiśle:
Jeden z nich koszyk niosąc z kasztanami
Leciał najpierwszy.... alić pod nogami
Lód pęka... biedny chłopiec w dziurę wpada,
Lecz koszyk został; natychmiast gromada
Niemyśląca o obronie
Tego, co w nurtach już tonie,
Wraz się rzuca na kasztany;
Cały koszyk rozerwany,
Mówię cały do jednego:
To obraz życia naszego.

B A D A N I E.

*Oryginalna.***Małpa i Lampart.**

Na łące, kędyś w Afrykańskim borze,
 Małpy jak zawsze w przedziwnym humorze,
 Raz się zebrawszy przy wieczornej dobie,
 Grać w ślepą babkę umyśliły sobie:
 Wraz stara Małpa z powagą zasiada,
 Młoda, na jej kolanach głowę swą opiera.

Gdy uderzenie, niejedna odbiera

A niezgaduje, natychmiast z radości

Małpy wesołe z natury,

Wrzeszczą, i krzyczą, i skaczą do góry:

Na odgłos takich śmiechów, wesołości,

Młody Lamparcik, Książątko wyborne

Zostawiwszy sługi dworne

Zbliża się w miejsce gdzie tak wielka radość;

Na ten widok, strach i bladeść

Pada na Małpy, każda myśli o swem grzbiecie

Gdy Lampart do nich: — „Czemuż przestajecie,
 „Ach grajcie proszę, niech ja nieprzeszkadzam,
 „Jam dobre zwierze, każdemu dogadzam;
 „Grajcie, jak gdyby byliście tu sami,
 „Nawet pozwólcie, niech i ja gram z wami.“ —
 „Ach moi Książę, — wołają zwierzęta, —

Coż to za dobroć, grzeczność niepojęta,
Możeż Pan taki chceć bratać się z nami,
Małpami? “ —

„Tak jest — odpowie Jaśnie Oświecony: —

„Małemu jeszcze mowiono dziecięciu

„Ze każda bestya, równa jest Książęciu;

„Więc grajmy wszyscy, ale grajmy proszę,

„Niech z wami dzielę roskosze.“ —

Na tę tak słodką, i tak grzeczną mowę

Małpy, co zawsze wierzyć są gotowe

Uwierzyły i dzisiaj: wraz jedna wypada,

I rękę na grzbiet zakłada,

Lampart swą łapę, silnie na dół ciska,

Z rozdarłej dłoni, krew obficie pryska;

Z wielkiego bolu, Małpa cała zbladła

I kto uderzył, już tą razą zgadła:

Natychmiast, wszelkie igraszki ustają,

Choć Małpy jeszcze śmiech jakiś udają,

Lampart tylko śmiał się szczerze.

Zmyka w stronę każde zwierze,

Mrucząc po między zębami;

„Niewdawajmy się z wielkimi Panami,

„Každy z nich choćby najlepszy z natury

„Ma zawsze ostre pazury.“ —

B A J K A XIV.

*T ł ó m a c z o n a z F l o r y a n a.***Wychowanie Lwa.**

Lew mocarz zwierząt, i Pan miłościwy,
 Gdy go w nadziejach los długo zawodził,
 Ujrzał nakoniec, dzień świetny, szczęśliwy,
 W którym pierwotny syn mu się urodził:
 Wielkie ztąd było po kraju wesele,
 Królowie mają, przyjaciół tak wiele!
 Troskliwy ojciec, jał się z sobą radzić
 Komuby wychowanie mógł powierzyć syna,
 Czy zwierze jakie z Paryża sprowadzić,
 Czy z Szwajcar, z Wiednia, albo też z Berlina.
 Trudnem to było zewsząd przedsięwzięciem,
 Dziecie Królewskie, nie jest zwyczajnem dziecięciem;
 Ileż to trzeba trudów podejmować,
 By godnie tronu następcę wychować.

„I królowie czasem błądzą,
 Niech lepiej, rzeknie ojciec, inni o tem sądzą.“ —
 To mówiąc, przezornemu jak należy panu,
 Zwołuje Radę Ministrów i stanu,
 Zwołuje Radce, Stanu Sekretarze,
 I z niemi młode półreferendarze,
 Przedstawia im potrzebę Ochmistrza dla syna,
 I wszystkich na sumienie i honor zaklina,

By mu w tem wierne otworzyli zdanie.

Tu tygrys powstał: — „Najjaśniejszy Panie!

Woła, to co najbardziej Królów wznosi sławę,

Jest, toczyć wojny, prawe lub nieprawe;

Dość że Królowicz najazdy srogimi,

Stanie się biczem, i postrachem ziemi,

Już będzie wielkim: napróżne uczenia,

Najbardziej strzedz się trzeba oświecenia,

Dosyć że będzie umiał zabijać i palić,

Stanie się sławnym, będą poeci go chwalić.“ —

„Mądre to zdanie, — niedźwiedź się odzywa —

Wiemy że wielkie szczęście z srogich wojen spływa

Na świat i króle; ale trzeba więcej,

Trzeba by ochmistrz książęcy

Wpajał weń dzikość, posępną nietkliwość

I rozsądną popędliwość.“ —

Po niedźwiedziu lis chytry, z ogonem zagiętem

Twierdził iż polityka jest pierwszym talentem,

Że niedosyć traktaty umieć podpisywać,

Wiedzieć jak je tłómaczyć, jak niedotrzymywać,

Jak po cudze prowincye przez obludę sięgać,

I na zgubę jednego we trzech się sprzysięgać,

Że w tem pierwszy monarchów talent się znajdował. —

Tak gdy każdy dość zręcznie sam siebie mianował,

Przyszła kolej i na psa; ten w ciągu swej mowy,

Twierdził: — Że acz król dobry, do wojny gotowy,

Przecież, by jej uniknąć, wszystko czyni z siebie,

I nie toczy jej chyba w ostatniej potrzebie:

Sztuka oszukiwania zda mu się obrzydła,

Nie jeden wielki szalbierz wpadł w własne swe siidła.

Znam ja pewniejszy sposób, Najjaśniejszy Panie,
Którym mądry król wsławia swoje panowanie:
Tym sposobem są prawa niewzruszone, święte,
Prez nie to, wszystko w karby właściwe ujęte,
Zabezpiecza, (nadając równą wszędy wagę)

I swobody narodu, i tronu powagę.

Ach! pierwszym obowiązkiem władzcy przepisany,
Nie siać trwogi postrachu, ale być kochanym.
Jeżeli chcesz by Królewicz szedł za temi rady,
Sam mu daj dobre przykłady.“—

Zamilkła rada stanu, ministry zmieszane,
Gorszyły się na zdania nigdy niesłyszane.

Lecz cnotliwy Monarcha, psa woła do tronu,
„Będę ci, rzecze, wdzięcznen do samego zgonu,
Tobie coś z moich poradców tak wielu

Jeden prawdę śmiał mówić, tobie przyjacielu:
Twej przychylności, co się niczem niezachwieje
Powierzam syna, moje i państwa nadzieje.

Weź go, niechaj daleki od zepsucia dworu,

Od pochlebców i wytworu,

Uczy się, (jeżeli można sam sobie nieznanem)

Jak być biednych mych bestyi, i ojcem i panem;

Niech wcześniej, przez twe rady, przez twe napomnienia,
Kształci serce do cnoty, umysł do rządzenia.“ —

Pies zakręcił ogonem, i wraz z Lewkiem małym,
Zaczął odprawiać podróż, po królestwie całym.

Udał najprzód przed dzieckiem, że nie panem wielkim,
Że nie był Królewiczem, lecz biednym pudelkiem,
Dalekim krewnym jego: już Lewek ochoczy,
Biega po kraju, a pies stawia mu przed oczy,

W przykładach, zdarzeniach różnych,
Smutną nędzę ubogich, nadużycia możnych;
Jak Lampart sarny, wilk barany dłabi,
Jak lisów chciwość zawzięta,
Dusiła gęsi, kury, i kurczęta,
Jak od podwładców ciemięzeni słabi,
Jak prawdziwa zasługa wstydnie zapomniana,
Wół pracował, a Małpa była nagradzana.

Zżymał się Lewek ze złości: —

„Sąż Królowi jegomości,

Zapyta, zbrodnie te znane?“ —

„Wniście do Króla, pies mu odpowiada,

Kilku tylko panom dane

A zjedzony już nie gada.“ —

Tak bez morałów w sposobie najmniejszym,

O roztropności i enocie,

Lewek się codzień stawał rozumniejszym;

Jakoż w rzetelnej istocie

Każdy się więcej kształci z doświadczenia

Niżli z uczenia.

W tej to więc szkole, w pierwszym dni początku,

Nabrał nasz Lewek siły i rozsądku:

Rosło zwierze, i co dzień coś się nauczyło,

Przecież nieznało dotąd że się Lwem rodziło.

Aż dnia jednego, gdy o swej wdzięczności

Rozmawiał z swoim dobroczyńcą, panem,

Tygrys niezmiernej wielkości,

Z iskrzącem okiem, z rykiem niesłychanem

Z boku się do psa przybliża:

Skorszy od niego Lew grzywę naiża,

Ogonem srodze tłukąc kark kudłaty,
Rzuca się, i w oka mgnieniu,
Pławiąc ostre swe szpony wkrwi czarnej strumieniu,
Srogiego przeciwnika rozrywa na szmaty.
Ledwie zwyciężył wraz do przyjaciela,
Leci: — „Ach! ileż dla mnie rzeknie ztąd wesela,
Żem dobroczyńcy memu, mógł życie ocalić.

Niechcę sam siebie chwalić
Ale w tej chwili, przyjaźń co mię zapalała
Lwa mi odwagę, i siły nadała.“ —
„Jesteś nim, rzekł pies tonem rozczulonym, —
Jesteś mym Królem, mój urząd skończonym;
Wróćmy do dworu, ta rozstania chwila
Smutnie me serce rozkwila:
Wkrótce nabędzie szczęśliwa kraina
Dobrego króla, a ja stracę syna.“ —
I w rzeczy samej, po ojczystym zgonie,
Lew młody usiadł na tronie:

Pomny prawd smutnych Królom ukrywanych,
Był przystępnym dla poddanych.
Gdy mu tygrysy, niedźwiedzie,
Mówili że się wszystko jak najpiękniej wiedzie,
Że rolnictwo kwitnęło, że skarb napełniony,
Słowem że stan królestwa był błogosławiony;
Ze głupcy tylko zawzięci
Byli jedni malkontenci,
Że są bajką biednych płacze:

Niewierzę, mówił, aż w przódy zobaczę. —
Przez takową ostrożność, przez dozór troskliwy
Król był bardzo kochany, a lud był szczęśliwy.

B A J K A X V.

*Oryginalna.***Małpa na reducie.**

Pewien miłośnik natury
Co zwiedził wszystkie i lasy i góry,
Między ciekawościami w swoim gabinecie,
Niewiem co na to powiecie,
Miał Małpę w wzroście, postawie,
Tak dużą jak człowiek prawie:
Wpuszczach Afryki dobrze ona znana,
Imieniem Urangutana.
Mędrzec nasz był troche pusty,
Umyślił Małpie suknie sprawić sute,
A że nadeszły same mięsopusty
Wziąć ją z sobą na redute.
Więc sprawia Małpie domino różowe
I Bajutę koronkową:
Na łeb jej szorstki z natury,
Kładzie kapelusz ze strusiem pióry,
Rękawiczki na ręce, na nogi trzewiki:
By lepiej jeszcze utaić twór dziki
Nos błękitny i twarz płaską
Wenecką okrywa maską.
Biorą dryndulkę, i już w północ samą
Stają przed teatru bramą;

Wraz się koło nich kłęca latarniczki
Kto ma otworzyć im drzwiczki.
Wchodzą, już liczne znaleźli zebranie,
Tysiączne światła, gwarliwe gadanie,
Muzyka, i poncz co woń swą rozszerza,
Wszystko ich zmysły uderza:
Každy jak gdyby obrany z rozumu
Ciśnie się wsam środek tłumu,
Jeden drugiemu pod nosem
Niesłychanym piszczy głosem,
Snują się różne figury rojami,
Lecz jak na świecie zwodne jedynie strojami.
Nieraz konował w peruce doktora,
A krawiec z piórem autora,
Szarmancka, której mowa ojczysta nieznana
Była za polkę przebrana,
Artystka co śpiewa w chorze
W Westalki przyszła ubiorze,
Żyd za rycerza z kokardką niedużą,
A adwokat pasterzem z flecikiem i rożą.
Wśród tego ścisku, nasi przyjaciele
Chodzili także z maskami na czele:
Každy spojrzy na mędrca i wraz go pominie,
Małpa w różowym dominie
Milcząca, zimną udając powagę,
Wszystkich zwróciła uwagę;
Lecz choć kto do niej zagada
Spojrzawszy z góry nie nieodpowiada:
To uporczywe milczenie,
Postać, chód niepospolity,

Coraz to większe wzbudza zadziwienie.
Głos się wszędy wznosi liczny,
To pewnie jakiś książę zagraniczny!
Nie, rzeknie drugi; patrz jaki ton pański
To Ambassador Hiszpański!
Mylisz się woła inny w twojem rozumieniu,
To lord Angielski, widać po milczeniu:
Może Senator, Feldmarszałek jaki,
Widno w nim wielkie dostojenstwa znaki.
Tak gdy się każdy pochlebia,
Już jej aktorka swój bilecik wścibia,
Doktor swój adres, malarz swe mieszkanie,
Kupiec swe towary tanie,
Každy gdy się pod Małpy protekcyę ucieka,
Na uczonego nikt niespojrzy człeka.
Na ówczas mędrzec, zdarłszy z Małpy maskę,
„O nędzna trzodo, o stworzenie płaskie,
Zawoła, patrzaj komu bijesz czołem:
Podłość jest twoim żywiołem,
Rozum, nauka, zasługa prawdziwa,
Wszystko u ciebie cenę swoją traci,
Przekładasz zwierze, co w dumnej postaci
Milczeniem głupstwo pokrywa.

BAJKA XVI.

*Oryginalna.***Pióra i Szabla.**

Gdzieś tam podobno w kąciku,

Na marmurowym stoliku,

Leżały razem

Pióro z żelazem :

Leżąc, cóż robić? zawsze spać, to trudno :

Zawsze milczeć, trochę nudno :

Lepiej więc, choćby mowy były płocze,

Pogadać trochę.

Ostra Szabla, co wiemy, że nie jest trwożliwa

Tak pierwsza długie, milczenie przerywa: —

„A to rzeczy niesłychane,

Ty Pióro z gęsi koślawej wyrwane,

Z gęsi, co to, nieumie ni chodzić, ni latać,

Tak się zemną ważysz bratać?

Wiesz przykim leżysz? od ostrza mojego,

Zawisły losy mocarstwa każdego :

Ja jestem Szabla, od mojej to woli,

Wytempiać, wkładać kajdany niewoli.

Patrz jak Atilla, Alarik Gingiskan,

Sławny Tamerlan, i wielki Kulikan,

Siłą mojego bułatu,

Rozkazywali struchlałemu światu !

Rozum, nauka, z swym blaskiem zwoźniczym

Przy Szabli niczym:

W pokoju nawet, gdy szczękam po bruku,

Na hałas mego, i stuku i puku,

Sędziwy mędrzec, choć bywał bojakiem,

Ucieka, jakby przed straszydłem jakim;

Słowem gdzie tylko błysnie Szabla sroga,

Postrach i trwoga.“ —

„Winszuję, — pióro jej rzecze, —

I ja szanuję, i Szable, i miecze,

Nie wtenczas, gdy na rozkaz jakiego szaleńca

Po ruinach szukają próżnej chluby wieńca;

Nie wtenczas kiedy burzą, wytopiają, gonia;

Lecz wtenczas, gdy praw świętych i ojczyzny bronią.

Mówisz że jesteś wszystkim ... o Szabło ponura,

Czemże byś była w świecie, bez gęsiego Pióra,

Któżby o Tezenszu, a Alcydzie dzielnym,

O Achilu nieśmiertelnym

Wiedział co dzisiaj, gdyby nie ów Homer stary,

Co bożkami od Feba zbogacony dary,

Uniesion duchem, jakim wieszczkowie przejęci,

Niewyrwał tytuł imion z czasów niepamięci.

Mówisz że Szabla wszystkim, niczem niewstrzymana;

Ach! gdyby samej Szabli nędzny świat oddano

Cożby się wtenczas działo? i któż to opowie?

To nieszczęśliwe zwierze, co się człkiem zowie,

Jego przemysł i praca, światła inauki,

Te gmachy, te posągi, te nadobne sztuki,

Wszystkie by się te cuda, dziełem ślepej siły

Obróciły w popioły, pustynie, mogiły!

Choć ciebie dzisiaj, tłum względów zaszczyca,
Przecież po między nami, jest jakaś różnica:
Szabla czasem obroni, lecz częściej dokuczy,
Pióro, choć czasem zbłądzi, zawsze jednak uczy.“ —

Tu gdy się Pióro, rozwodzi tak śmieie,
Szabla co nienawidzi, rozumowań wiele,

Strasznem się gniewem zajęła,

I piórowi nos ucięła;

Lecz cóż się stało: na innym stoliku,

Mnóstwo lepszych piór bez liku,

Pisać zaczęło: długo walka trwała,

Na reszcie Szabla poznała,

Ze łatwiej twierdzą prochami wysadzić

Niż wszystkie Pióra zagładzić.



B A J K I A XVII.

*Z Angielskiego.***U b o g i W i e s z c z e k.**

W wieku czternastym, gdzie Barony dumne,

 Zwykli się z sobą klucić, i pasować,

W wieku którego głupcy bezrozumie

 Dziś jeszcze zwykli żałować,

Szedł Bard ubogi nad samym wieczorem,

 Cienistym borem.

Był to młodzieniec, co niedbał o skarby,

 Nadobna jego uroda,

Poranna zorza, jej złociste farby,

Kochanka lutnia i jasna pogoda

 Te były jego bogactwa:

Szkoda że dzisiaj niemasz tego bractwa,

Lecz mniejsza oto! Bard nasz szedł wesoło,

Gdy raptem z tyłu, i bokiem,

Tłum rozbójników, z przeraźliwym wzrokiem,

 Otoczył go na około.

 Napróżna była obrona,

Wraz do końskiego przywiązany ogona,

 Czując się dużo stłuczonym

Został w jaskinie zbójców zawleczonym.

 Po tych wybojach, po tak twardej drodze

 I lutnia barda ucierpiała srodze.

Lecz zbójce, nie są tak trudne,
U nich i drumla, ma dźwięki przecudne.
Skoro więc do obfitej biesiady zasiedli
Dobrze się już napili, i dobrze najedli,
Krzyknęli, (czego Bard się nigdy niespodziewał)
By im jaką pieśń zaśpiewał;
Drżącym więc głosem chcąc ująć morderce,
Zaczął śpiewać Wieszczyk młody,
Jak dziewczę pięknej urody,
Kochankowi swojemu, śmiało ukraść serce:
Na słowa kradzież rozbójnicy leśni
Wraz go kułakiem potracą,
Śpiewaj wołają taką z twoich pieśni,
Coby dla twych słuchaczów nie była krzywdząca.
Innym więc tonem śpiewak głos podnosi,
Nuci jak człowiek ubogi
Co się uczciwej zawsze trzymał drogi,
O sprawiedliwość w pokrzywdzeniu prosi,
Znów mu przerwano: w tem jest pełno złości,
Prosim się wstrzymać od osobistości....
Wśród przekleństw, i lulek dymu,
Bard po raz trzeci zaczyna,
Lecz kiedy ludzkość wspomina,
Jedynie tylko dla rymu,
Porwał się z gniewem, jeden z rozbójników:
„Dość już zawoła podobnych przytyków,
Zaraz mi ulóż piękną jaką ode
Na pochwałę cnót moich, na moję urodę.“ —
Choć rozkaz dany, słuchać go nie snadno,
Osoba zbójcy, tak była szkaradną,

Na rękę jego świeżej krwi strumienie,
Mowa tak sroga, tak przykre wejrzenie
Iż nasz Trubadur cnotliwy,
Nie miał co chwalić, w żaden sposób żywy,
Mleczął więc długo, i stał sobie smutnie:
Tu w zbójcy zemsta zapala się wrząca,
Porwie z rąk Barda nieszczęśliwą lutnię
I o mur twardy roztrąca.
Wydały strony, ostatnie swe jęki,
A Wieszczek krzyknął: — „Bogu memu dzięki!
Wolę że jesteś stłuczona
Niż gdybyś była podłością splamioną.” —



B A J K A XVIII.*Oryginalna.***Z i e m b a.**

Wesoła Ziemia na gałązce cienkiej
Gdy się kołysze i śpiewa,
I daje lekcję córeczce malenkiej
Co się po ciehu odzywa;
Raptem zapomniawszy dzieci
Zrywa się, i w bok przestraszona leci.
A gdy po niejakiem czasie

Nazad wraca się:

„Mamulu! mała Ziemia zapytała,
Czemuś tak prędko od nas odleciała,
Co to się stało Mamulu kochana?“ —
Odpowie matka cała pomięszana:
„Kochanie moje, postrzegłam z daleka,
Największe monstrum: Człowieka.“ —

B A J K A X X X.

*Oryginalna.***Kotka.**

Jak między ludźmi, tak wśród zwierząt innych,
Natura wielką sprawiła różnicę:
Czy na kobiety spojrzem, czy też na samice,
W kształcie, rozumie, w wdziękach ich niewinnych,
Są między niemi i skromne i dumne,
Troszeczkę głupie i bardzo rozumne.
W tej mniej lub więcej przystojna figura,
Niech Pan Bóg broni żeby brzydka która;
Takich co wszystko wzięłyby w udziale,
Przyznać należy że nie bardzo wiele;
A jeżeli ujrzysz stworzenie tak cudne,
Coby łączyło i cnoty i wdzięki,
Takie stworzenie w daniu swojej ręki,
W wyborze męża niezmiernie jest trudne.
Słusznie; bo lepiej w małżeństwo nie wchodzić,
Niż być męczoną, albo się rozwodzić.
Tej jasnej prawdy dała nam dowody
Kotka przecudnej urody;
Ale tak śliczna że po całej włóści,
Nie mówiono jak o jej piękności.
Miała okrągłą i nadobną głowę,
Włosy pomarańczowe,

Oczy czułe i mdlejące,
Usta pstrokate sterczące,
Nosek pociągły, w policzkach kąciki,
I nad ustami maleńkie wąsiki;
Tok cały ciała, szykowny i giętki,
I na grzbiecie czarne cętki:
Nawet w miauczeniu coś miała słodkiego,
I do serca idącego.
Czułe rodziców staranie,
Równe piękności dało wychowanie,
I talenta i nauki,
Umiała różne sztuki;
Słowem każdy przyznał śmiało,
Że Kotka nasza była doskonałą.
Więc się dziwić nie należy,
Że w pośród kociej młodzieży,
Na każdym miejscu i każdego czasu,
Wiele robiła hałasu:
Gdzie tylko kroki obróciła swoje,
Tłumem młodych kotów roje,
Chodziły za nią, i oczy swe szklanne
Na tak prześliczną obracały pannę;
Co dzień nie jeden w miłośnych miauczeniach,
Mówił jej o swych płomieniach;
Oświadczał jak jest gorąco spragnionym
Darem jej łapki być uszczęśliwionym,
U nóg jej składał prezenta,
Kawałek syra, myszy i ptaszęta.
Lecz ona odmawiała dary i zaloty.
Oporem takim urażone koty,

Poszły na skargę do matki;

Była to Pani cnoty bardzo rzadkiej;

Nie zwiedzała obcych krajów,

Lecz przywiązana do dawnych zwyczajów,

Żyjąc daleka zgiełku i hałasów,

Bolała ciężko nad zepsuciem czasów;

Siedząc mruczała i ruszała wargi.

Koty jej swoje przełożyli skargi,

Pytali zkąd to dziwactwo dziewczyny,

Z jakiej jej córka przyczyny,

Gardzi wszystkimi ofiary,

Pięknej swej łapki odmawia?

Że tylu kotów starania i dary,

I miłość tkliwa wrażenia nie sprawia?

Na srogie męki ich głucha,

Grzeczna dla wszystkich, żadnego nie słucha?

Poważna Kotka twarz swoją sędziwą

Umywszy łapką, tak im odpowiada: —

„Ze córka moja nie jest dotąd tkliwą,

Niech na nią winy żaden z was nie składa;

Przyczyna jej oporu i obojętności,

W waszym życia sposobie, w waszej rozwiązłości.

Od dawnych kotów co to za różnica?

Świat zawsze jeden, i dawniej kochano,

Lecz czułą miłość kryła tajemnica,

Kto kogo kocha o tem nie gadano.

Ten co się chlubił, żył w wiecznej niesławie,

Dziś u was wszystko na jawie;

Co to za wasze kochanie?

Gdzie winne dla płci jest uszanowanie?

Kędy przystojność? gdzie zalotność grzeczna?

Między samemi spory, wojna wieczna,

Ustawnie się drapacie,

I miauczycie i parzchacie;

Wśród srogiej wrzawy, na jawnym widoku,

Po piwnicach, po dachach, czasem i w rynsztoku

Spełniacie miłości brudne:

I jaż, to stworzenie cudne,

Dziecie me, łotrom mam takim powierzyć!

Ach! niechciejcie temu wierzyć.

Wprzód nimbym miała nieszczęście jej sprawić,

Jeżeli się żaden nie zechce poprawić,

Choćby to miano i za rzecz naganną,

Wolę że córka moja umrze panną.“ —

B A J K A XX.

*Oryginalna.***Motyl i Pszczoła.**

Motyl pyszny z swojej szaty
Łśniącej się złotem, bławaty,
Gdy lata z kwiatu na kwiatek,
Tutaj na rożę, znowu na bławatek,
Nareście w miejscu astronnem
Siada na fijołku wonnym.
Przypadkiem Pszczoła wprzody tam siudząca
Z tegoż fijołku czary,
Smoktała słodkie nektary;
Motyl ją skrzydłem potraça
I krzyczy: — „Precz ztąd nikezemny owadzie,
Niewidzisz że mi stoisz na zawadzie!
Chyba mię nie znasz?“ — „A! to rzecz zabawna!
Odpowie Pszczoła, znam ciebie oddawna,
Strój twój dzisiejszy powierzchwą różnicą:
Nie dawno byłeś podłą gąsiennicą!“ —

B A J K A III.

*Oryginalna.***H e r o s t r a t.**

Wieczór nadchodził i gasły już zorze,
Gdy lud w Efezie powracał z igrzyska,
A rad z pysznego jeszcze widowiska,
Tłumnie rozmawiał o sztuki wyborze:
Kiedy w gęstych nocy cieniach
Daje się słyszeć głos trwogi,
Patrzą, co za widok srogi,
Kościół Dyanny w płomieniach!
Lecą wszyscy przerażeni
Ratować, wiedzieć pożaru przyczynę;
Alć zszedłszy na dolinę,
Kędy się zdrój święty pieni,
Postrzegli bokiem z daleka,
Idącego spieszno człeka:
Był to Herostrat szalony,
W ręku miał jeszcze tlejącą pochodnię,
Wraz sam wyznał swoją zbrodnię,
A lud gniewem uniesiony,
Szkody powszechnej ofiarę,
Wiódł go do sądu po karę.
Stawa; sąd się zapytuje:
„Czemu popełnił czyn wściekły?

Co na obronę znajduje,
I czyli jędze wypuszczone z piekły,
Rozum jego obłąkały?
Jak śmiał okrutny, zuchwały,
Świątynię bogów w perzynę obracać,
Posąg Dyany wywracać?
Niszczyć gmach tyłą wzniesiony trudami,
Ozdobny całej Grecyi skarbami,
Mieszkanie bogini lubę,
I narodów wszystkich chlube? “ —
Postępując trybem prawnym,
Wionowajca odpowiada: —
„Chciałem być w Grecyi sławnym,
Ztąd winna moja i zdrada;
Próżność mię bodła, pragnąłem koniecznie
Żyć w pamięci ludzkiej wiecznie.
Nieużyte przyrodzenie
Odjęło cnotę sercu, światło rozumowi,
Byłem niezdatny krajowi,
Chciałem mieć jednak znaczenie;
Nie mogąc drugich zdatnością celować,
Co ci zrobili, to ja chciałem psować:
Zbrodnia łatwiejsza jak cnota,
Spalić więc gmach ten wzięła mię ochota.
Mniej dbam, że Efez na to się zażali,
Byleby o mnie gadali, pisali.“ —
Sędzia mu rzecze: — „Złoczyńco nieprawy!
Cnotą dojść tylko można szczytu sławy;
Kto zbrodnią pełni, próżnością zajęty,
Nie będzie sławny, lecz wiecznie przeklęty:

Umrzesz w ciemnotach srogiego więzienia,
I nikt nie wspomni twojego imienia *).

*) Sąd w Efezie na ukaranie próżności Herostrata wyrokiem swoim zakazał, aby nikt z mieszkańców imienia jego nie wazył się wymawiać.



P O W I E Ś C I.

KSIEGA PIERWSZA.

POWIEŚCI.

KSIĘGA PIERWSZA.

POWIEŚĆ I.

Oryginalna.

Sultan i Wezyr.

Niegdyś Muchamed berłem Perskiem władał,
Ten nieustanne krwawe wiodąc boje,
Nad szczęście ludu, chwałę swą przekładał,
Tak, że krainy sąsiedzkie i swoje
W głuche pustynie obrócił,
I że kędyś okiem rzucił,
Świadczyły wszędy barbarzyńskie czyny,
Smutne ruiny.
Szczęściem, miał on Wezyra, prac swych towarzysza,
Ten powiadał, że z dziecięcia,
Od jakiegoś tam Derwisza,
Nauczył się języka każdego zwierzęcia,

I że ptak żaden nieotworzył dzioba,
 Żeby Wezyr wraz niewiedział
Słowo do słowa, co ptak ten powiedział.
 Raz gdy wieczorna nadchodziła doba,
Sułtan z łowów wracający,
Tam gdzie wśród gruzów sterczał mur chwiejący,
Ujrzał dwie sowy: — „Dobry mój Wezyrze,
Rzecz Muchamed, przyznam ci się szczerze,
 Żebym zapłacił dość drogo,
By wiedzieć, co te sowy gadać mogą.
Pójdź i posłuchaj.“ — Wezyr głowę zniża,
Cicho, na palcach do muru się zbliża
I słucha pilnie: po jakimś czasie,
„Panie, zawoła, daruj moją trwogę,
Ale dali Bóg powiedzieć niemogę
 Co gadały głupie sowy,
Bobym już może więcej nieujrzał mej głowy.“ —
Sułtan mu rzecze: — „Możesz mówić snadnie,
I włos ci zgłowy niespadnie.“ —
Ośmielon Wezyr tak powieść zaczyna:
 „Wiedzieć należy Miłościwy Panie,
Że jedna z sów tych ma syna,
 Druga ma córkę, idzie o pobranie
Tych pięknych dzieci: matka oblubieńca
Do matki panny, w ten sposób mówiła:
Jabym się łatwo zgodziła,
 I intercyzę podpiszę,
 Jeżeli z ust twoich usłyszę,
Że w posagu z twą córką weźmie syn mój młody,
Pięćdziesiąt wsi spalonych, i dwa puste grody.

Wraz pięćset daję, druga jej odpowie,
Niech Bóg da tylko Sułtanowi zdrowie;
Póki on potrwa w panujących rządzie,
Na pustych murach zbywać nam niebędzie.“—

Kronika z której ta powieść wybrana,

To nam jeszcze zostawiła,

Ze ta odpowiedź sowy, dopiero słyszana,

W sercu Machmuda tak żywo utkwiała,

Iż odtąd krwawe powściągnął zawody,

Pobudował spalone, i wioski i grody,

I że, we wszystkich dziełach przedsiębranych,

Miał za cel szczęście poddanych.

20. Grudnia 1813.



P O W I E S Ą C I E.

*Oryginalna.***R z ą d S u t y.**

Był koń waleczny, dziarski, okazały,
 Sławny przez świetne gonitwy,
 Z rozwianą grzywą, gorący i śmiały,
 Zbrojne szeregi, ścierał w pośród bitwy;
 Ale nieszczęściem o wolność zazdrośny,
 Latał samopas, lub po stepach błdził,
 Zrzucał wędzidło jak przymus nieznosny,
 I nie nim jeździec, lecz on jeźdźcem rządził.
 Tak więc gdy długo bujał wyuzdany,
 I przez swywołą sił dawnych postradał,
 Woźnica z brodą, Niemieckie furmany,
 Bóg wie kto go nie dosiadał
 Każdy nowemi jukami uciskał.
 Z rumaka szłapak zaledwie się chwieje,
 Alć pomimo nadzieje,
 Pierwotny Pan go odzyskał;
 Z wielkiej radości, czyli też dla mody,
 Choć wiele z dawnej koń stracił urody,
 Pan na rząd suty patrząc u sąsiada,
 Bo rumak jego był silnym i roslým,
 On rząd podobny na podiezdka wkłada,
 Siodłem go zdobi wyniosłym;

Na siodle czaprak z srebrnemi golony,
Pyszny nagłówek, podogonie sute,
Cały napierśnik turkusem sadzony,
I wszystko srebrem lub złotem okute.
Podjezdek dawną przypomniawszy dobę,
Zarzął wesoło, strzygł uszkiem powoli,
Ale nie długo nosił tę ozdobę:
Zbyt nie dla wzrostu i doli,
Było rządu tego brzemie;
Dzwigał go przez małą chwilę,
Wreszcie zemdlony na sile,
Zachwiał się i padł na ziemię.
Niech Rząd dla konia jako też dla kraju,
Stosowny będzie do sił i zwyczaju.

2. Stycznia 1808.



P O W I E Ś Ć III.

*Oryginalna.**(Trzynastego wieku.)***Panna Guzdralska.**

Kronika dawna podarta i licha,

W której nie jednej kartki niedostaje,
 Za Kazimierza napisana Mnicha,
 Ale ja wnoszę z postrzeżeń pomniejszych,
 Że nieskończenie za czasów późniejszych,

Następującą powieść nam podaje:

Pod zieloną dąbrową i blisko Łęczycy,
 Mieszkał Szlachcic w przyjemnej bardzo okolicy,
 Jak zwano miejsce, nadaremnie pytać,
 Ciężko bowiem było czytać
 W rękopismie, co długo gdy leżał w szkatule,
 Strasznie pojadły go mule:
 Jedynie ciągiem ślepień i ciężkiej roboty,
 Przez te szkła, co stokrotnie zwiększają przedmioty,
 Śledząc książeczkę zbutwiałą,
 Odkryłem, i wyznaję z rokoszą niemałą,
 Ze ów Szlachcic był Cześnikiem,
 I iął mnawet nadzieję być wkrótce Stolnikiem;
 Że niezmiernie był bogaty,
 Miał liczne włości i kosztowne szaty:

Lecz mniejsza o to, bo największą chluba
 Było dla niego, że miał piękną córę,

Obdarzoną w to wszystko, przez hojną naturę,
Co nam niewiastę czyni powabną i lubą:
Była razem i wdzięczną i piękną i miłą,
Wszystko w niej serca wabiło
Tak, że nietylko z Łęczycy,
Ale z całej okolicy,
Co mówię, z kraju całego
Na odgłos cudu takiego,
Zlatywała się młodzież: na pierwsze spojrzenie,
Wraz się każdy zakochał, zakochał szalenie:
Niedziw, mówi kronika, rzecz wcale nierzadka,
Bo Panna była równie rozsądna jak gładka:
Lecz choć pięknemi zbogacona dary,
Że niemasz pono człeka bez przywary;
Miała i ona błędek tak nieduży,
Iż rzekłbyś, że to pyłek na szkarłacie róży.
Mamże powiedzieć nawiasem,
Jaka to wada? o to skłóciła się z czasem,
Niemogła pojąć z jakiej to przyczyny,
Były dnie, noce, i były godziny:
Owszem mniemała, że ów czas odwieczny,
Był tak dobry i tak grzeczny,
Iż przez wzgląd dla niej w dzień uczyły lub rodziły,
Mógł się zatrzymać kilkanaście godzin,
I stać na miejscu kamieniem.
Z tak wybornem uprzedzeniem,
W przewrotnym trybie pędziła swe życie,
Świt był u niej w południe, a północ o świcie:
Choć ją wszędzie proszoną sadzano na przedzie,
Zwykła zawsze na obiad zjeżdżać po obiedzie,

Na scenę i na sztukę co pierwszy raz grano,
Zawsze przybyła kiedy zasłonę spuszczano;
Na mszą nawet (choć wiemy, że w tem grzech śmiertelny),
Nigdy nieprzyszła aż drzwi zamknął dziad kościelny;
Ale że ją rodzice niezmiernie lubili,

Nie nie mówili.

Przecież mówi kronika, to wieczne guzdranie
Musi być bardzo miłym, wdzięcznem niesłuchanie;
Nie zmniejszali się czecciele,
Było ich zawsze i hoźych i wiele.
Większe nad innych umiał zjednać łaski,
Pan Wojewodzie Kujawski;
Herbu Gozdowa, a herbów tych ludzie,
Mówi Paprocki, mają duże nosy,
Oczy wypukłe, kręcące się włosy,
Są wytrwali w każdym trudzie,
Bitni na wojnach, trochę zabobonni,
A nadewszystko do miłości skłonni.
Przymiotami i postawą,
Był Wojewodzie prawdziwym Gozdawą;
Wielkich talentów, w niczem nie naganany:
Po dość długich konkurach w zbyt szczęśliwej chwili,
Otrzywał słowo od Panny,
I rodzice zezwolili.
Pełen szczęścia i radości,
Pełen najczulszej miłości,
Przed zapustami na cztery niedziele,
Jechał przygotowania czynić na wesele.
Uteśknionemu do swojej Maryny,
Wiekami były i dni i godziny,

Skracał je czasem wzdychaniem,
 Albo rozpamiętywaniem
 Nad jej dowcipem, nad jej słodką mową,
 Nad tysiącznemi jej wdzięki,
 A nadewszystko nad białością ręki,
 Przechodzącą kość słoniową.
 Tysiąc i tysiąc zwykł powtarzać razy;
 Piękna jest, śliczna nad wszystkie wyrazy;
 Nieraz atoli przydał, z miną zasępioną,
 Szkoda, że czasem raczy bywać roztargnioną:

Lecz to nie Maryny wina,

Nie ona, lecz czas nie wie która jest godzina:
 Wraz po weselu, wszystko inaczej się stanie,
 Gdyż w każdym kącie i na każdej ścianie,
 By zapomnienia ustrzedz się przywary,
 Postawiam, pozawieszam zegarki, zegary,
 W tych młoteczek bić będzie w dzwonek z srebra kuty,
 Godziny i kwadranse, sekundy, minuty:
 Niesposób, by Maryna w takowym hałasie,
 Mogła zapomnieć o czasie.

Ta myśl, nadzieje szczęścia, bardziej powiększyła,
 Już się też i wyprawa weselna skończyła,
 A gdy wszystko gotowem było należycie,
 Na senatorskie jak przystoi dziecie,
 W pięknej, licznej komitywie,
 Dworskich przyjaciół, blizkich koligatów,
 A wszysecy od soboli, złota i bławatów:
 Pan młody z zamku wyruszył szczęśliwie.
 Porządek kalwakaty tak krenika znaczy:
 Naprzód dwunastu jechało trębaczy,

Flamandzką okrytych szatą,
Juczno, suto, i bogato.
Że Wojewodzie wśród ojczystych szyków,
Został rotmistrzem husarskiego znaku,
Przeto na czele całego orszaku,
Szła chorągiew kopijników:
Sterczące z barków skrzydła, niecąc jasne strzały,
Z każdym krokiem srebrzyste dźwięki wydawały,
Zawieszane na plecach lampartowe skóry,
U paszcz ich białe zęby, i ostre pazury,
Na piersiach były zagięte;
Drżały w powietrzach proporce rozpięte:
U każdego koń dzielny, bogate siedzenie,
Wąs zawieszisty i marsa spojrzenie;
Za nimi dosyć pozoruy,
Hufiec Tatarów nadworny:
U wszystkich, na szerokich ramionach zwieszane,
Łuk i w kolczanie strzały nastrzempione,
Každy w buchastej szacie
Jechał schylony, na dzielnym bachmacie:
Za temi do trzydziestu pachółków dorodnych,
Tyleż wiodło na ręku rumaków powodnych,
Zrodzone w Polsce albo znane światu
Z ziemi Arabskiej, lub nizin Eufratu,
Dziarskie, ledwie ich, żywość rozhukaną
Mógł jeździec wstrzymać ręką zmordowaną:
Na powietrzu kopyta, żując wędzidła złociste,
Rozdętem nozdrzem iskry parzczały ogniste.
Ubranie równie pyszne jak same rumaki:
Lśknęły się turkusami sadzone kulbaki,

Tyftyk zwieszony do ziemi,
Szyty był w liczne wzory perlami drogiemi;
Obok siedzenia tarcza umieszczona,
Na niej piękny buzdycan, i szabla skrzywiona;
W rzęдах drogie kamienie bez najmniejszej skazy,
Rubiny i szafiry; szmaragi, topazy,
Blaskiem raziły oczy!
Dalej hufiec przyjaciół poważny, ochoczy,
W jedwabiach, axamitach, wszystko znaczne pany,
W rękę trzymały czekany;
Nakoniec sześć rumaków ciemno jabłkowatych,
W szorach złocisto bogatych,
Pańską kolebkę ciągnęło
Było to chędogie dzieło:
Ośm złotych słupków w obszernej przestrzenie
Wspierały axamitne u góry sklepienie,
Siedział wpośrodku, precudnej urody
Jaśnie wielmożny pan młody.
Miał on na sobie szatę złotogłową,
I axamitną ferezyą ponsową,
Na boku guzy roboty misternej,
Z szafirów i rubinów wielkości niezmiernej;
Lecz przechodziło pojęcie,
Samo ferezyi spięcie,
Był to karbunkuł jak gołębie jajo,
Jakiego dzisiaj królowie nie mają,
Ten takie rzucał płomienie,
Taki blask silny, że ludzkie spojrzenie,
Znieść go nie mogło, każdy oczy zmruża,
Na głowie kołpak, przy nim kita duża.

Dwaj pokojowi, obadwa panicze,

Oba syny urzędnicze:

Jeden pan sędzic Grodzki,

Drugi chorążyc pono Wyszogrodzki,

Wesołej miny i bystrego wzroku,

Z odkrytymi łebkami siedziały na boku;

Dworzanie, giermki i sługi,

Czynili za kolebką poczet dosyć długi,

Wszyscy w bogatych pasach,

Falendyszach lub atłasach:

Kończyły orszak poszustne rydwany,

Każdy ciężko ładowany,

Wioząc dla panny dary w całe pańskie,

Sliczne perły Uryańskie,

I ładzące oczy mile,

Zausznice, kanaki*), i drogie manile,

Widziano nadto między tylu dary,

Różnej wielkości zegary.

Kiedy tak Wojewodzie jedzie otoczony,

I pan Cześnik z swojej strony

Krząta się i z wielkimi gotuje zachody,

Wszystko co trzeba na blizkie już gody:

Wystawują na kredens ogromne puhary,

Rostruchany, konewki i złociste czary,

Rznięte miednice i nalewki ryte,

Drogiemi numizmami na około kryte,

Co mówię, cebry i wanny srebrzyste,

*) Jeżeli czytelnik niezrozumie dawnych jakich wyrazów się raczy udać do słownika P. Linde.

Wszystkie chędogie i czyste.
 Z dalekich włości sprowadzały bryki
 Cietrzewie, sarny i dziki,
 Sześciu kucharzy w szlafmicach na czele,
 Siekli tłuste pulpety, drobne figatele,
 Z wybornemi kondymenty,
 Bobkowych liści i mięty.
 Ale najwięcej było i pracy i bidy,
 Około wystawienia wielkiej piramidy,
 Ta cała lana z massy migdałowej,
 Cała w skorupie cukrowej,
 Na marcypanie ryś cudnej roboty,
 Wystawiał nowożeńców herbowne klejnoty,
 Jeden herb był Gozdawa a drugi Rogala,
 Obadwa Kupid pochodnią zapala.
 Ciągłem stołu rozliczne kołaczę, andruty,
 I konfektów szereg suty.
 Już okolnemi listy sproszone sąsiady,
 Prałaci z kapituły i panowie rady,
 A że pan Cześnik pragnął, by akt ten szczęśliwy,
 Mógł się odprawić w sposób jak można uczciwy,
 Pojechał do Skierniewie dość liczno i dwornie
 Księcia Prymasa upraszać pokornie,
 By się raczył w dom jego na wesele stawić,
 I młodą parę sam pobłogosławić.
 Już się wszyscy zjechali: lecz panowie mili,
 Wiecież jak się tam wszyscy pomieścili,
 Bo choć na wiek ów, Cześnik mieszkał dość wspaniale.
 Miał cztery komnat i do tańców salę,
 Przecież dla tyle gości zbyt zda się to mało,

Powiem więc jak się to w owych czasach działo:
Nam się to widzi rzeczą niepodobną,
O to w ten czas sam Prymas miał izbę osobną,
Dla innych gdzie się mieścić niebyło kłopotem,

Wszyscy leżeli pokotem,

A co lepszego przewybornie spali.
Nakoniec szczęsnej chwili doczekali
Kochankowie nadobni: już para dobrana
Nazajutrz o godzinie jedynastej z rana,
Stanąc miała do ślubu przed ołtarze święte,
Słodkiem uczuciem rodzice przejęte,
Sproszeni goście, krewni, przyjaciele,

Ławki zasiedli w kościele,

Sędziwy Prymas z duchowieństwem całem,
Z mitrą na głowie, w rękę z pasterałem
Zasiadł na tronie: zapalono świce,
Czekając wszyscy na oblubienice,
A gdy czekają już blisko godzinę,
Posłał ojciec zapytać o zwłoki przyczynę:
Powrócił goniec z prośbą by zaczekać trochę,
Że panna jedną włożyła pończochę,
I jest nadzieja, że w chwilę nie długą

Włoży i drugą.

Tym czasem młotek trzecią na zegarze głosi,
Gdy człek wysłany odpowiedź przynosi,
Że Panna zapomniała która jest godzina,
Ale że włosy już trefić zaczyna.

O piątej znowu goniec od hożej dziewicy,
Że tylko chcę falbanę przyszyć do spódnicy,
Że potem przyjdzie; gdy latają gońce,

Już się też do zachodu nachyliło słońce,
 Burzą się w panu młodym chucie niecierpliwe,
 Już czezość wielką żołądka i zwijanie ekliwe
 Czuja zebрани goście, gdyż każdy od rana
 Wiedząc jaka biesiada była zgotowana,
 Ze go w krótkce czekały pulpety, bekasy,
 Niezjadł kawałka chleba, ni nawet kielbasy:
 Poziewały kobiety i panowie rady,
 A nawet uważano, że ksiądz Prymas blady.
 Leci sam Wojewodzie pada na kolana,
 Zaklina żeby przyszła choć i nieubrana,
 Pozwól, odpowie panna, niech tylko kadryle,
 Przykróćę trochę, a przyjdę za chwilę;
 Niespokojny pan młody, na powrót przybiega,
 Słucha, aż strasznym wrzaskiem kościół się rozlega,
 Ksiądz Prymas zemdlał: gdy go trzeźwią kanonicy,
 Poziera Wojewodzie, aż blisko kaplicy
 Leży zemdlonych kilku radnych panów,
 Dwóch Wojewodów i trzech Kasztelanów!
 We łzach rodzice oboje:
 W ten czas jak gdyby w zimne zanurzony zdroje,
 Czuje, że miłość zgasła, tak szerzy swą żalność:
 Kiedy widzę do ślubu taką opieszałość,
 Kiedyś tak mało dbała na mą niecierpliwość,
 Jakażby była nasza w pożyciu szczęśliwość,
 Jaki rząd w gospodarstwie i przykład dla dzieci?
 Napróżno tysiąc ponęt w tobie świeci,
 Niech je inny posiada, łatwo go wybierzesz,
 Ja się wprzód zestarzeję, nim ty się ubierzesz.
 To kończąc, słowa niemówiąc nikomu,

Usiadł w kolebkę i wrócił do domu.
Tego pospiechu, tej niecierpliwości,
Niemożna chwalić w młodym jegomości,
Prędkość dobrze nie usłuży;
Gdyby cokolwiek chciał poczekać dłuży,
Czasu tak drogo nie cenił,
Byłby się pewnie ożenił;
Gdyż o trzeciej z północy z suknią atlasową,
Panna do szluby już była gotową.



P O W I E Ś Ć I V.

*Oryginalna.***Nadzieja karmiąca Chimereę.**

Pewien wędrownik idąc po gęstwinie,
Napotkał trafem nadziei boginię,
Ta trzymając w ręku czarę,
Karmiła małą poczwarę:
Zdziwiony pyta: — „O ty rodzie boski:
Co nam słodzisz życia troski,
Powiedz, przez jakie nieznane zdarzenie,
Karmisz dzikie urojenie?
Jestże poczwara wyrodna,
Tych tak czułych starań godna?“ —
Nadzieja z smutkiem mu rzecze:
„Nie dziw się błędny człowiecze,
Tą hojną ręką i tem śnieżnem łonem,
Nie jedno na wzór stworzenie nadobne,
Wszystkiemi wdzięki ozdobne,
Z tkliwością było przezemnie karmionem,
Jakaż z tąd dla mnie zapłata?
Umartwienie albo strata;
Karmiłam miłość, raczej miłość mię karmiła,
Przywiązałem się do dziecka,
Jam jedynie dla niej żyła,
Ona niestała zdradziecka,

Nabawiwszy mnie kłopotem,
Uleciała szparkim lotem :
Opłakując jej dziwactwo,
Wzięłam dostojność, bogactwo,
To niedoszedłszy lat jeszcze połowy,
Jedno sytość wznieciło, drugie zawrót głowy.
Zrażona tylą zawody,
Biorę otuchę co cieszy narody,
I ta w ciosach powtarzanych,
Nie dotrzymała obietnic dawanych.
Nakoniec w późną życia mego porę,
Niezawodną przyjaźń biorę,
Chcąc, by się na niej starość moja wsparła,
Niestety! przyjaźń umarła.
Dzisiaj widząc, że szczęście jest to rzeczy próżna
I że maniczem polegać nie można,
Czego nie ma przyrodzenie,
Wzięłam chimereę czyli urojenie ;
To chociaż szczęścia tylko zwodnym cieniem,
Oddała smutek lubem omamieniem,
Tem gdy się trudni serce i myśl żywa,
Nieznacznie życie upływa.

10. Maja 1810. w Arkadyi.

POWIEŚĆ 7.

Oryginalna.

Kupidyn i Szaleństwo.

Kiedy Kupidyn będąc chłopcem małym,
 Na dworze pięknej Cytery się chował,
 Gdy pod swej matki dozorem niedbałym,
 Rój pochlebników już go wcześniej psował,
 A z Nimf niejedna wróżyła żałośnie,
 Że nie dobrego z chłopca niewyrośnie:
 Mówią, i na to dowody są pewne,
 Że równe wiekiem, a nawet pokrewne,
 Szaleństwo co tam w sąsiedztwie mieszkało,
 Ruzynka swego często odwiedzało.
 Ilekroć dzieci z sobą się spotkały,
 Niebyło figlów, pustoty,
 Ni swawoli, ani psoty,
 Którychby oni chłopców obyczajem,
 Niewyrządzały jeden drugiemu na wzajem.
 Dosyć, w krótkich powiem słowach,
 Dzikie stworzenia chodziły na głowach:
 I niedziw, Wenus z gachami swojemi,
 Zajęta coraz miłości nowemi,
 Tym poświęcała czas swój, i spoczynek,
 Ani wiedziała co wyrabiał synek.
 Razu jednego gdy płoche chłopczyny,

To jest szaleństwo i Kupidyn mały,
Jak zwykle z sobą igrały,
Niewiem z jakowej przyczyny,
Wśród swawoli, i gonitwy,
Od żartów przyszło do bitwy:
Od Kupidyna, jak wieść opowiada,
Sroga zaczęła się zwada;
Bo ten za słowo, płocho wyrzeczone,
Czy za jakieś przeciwieństwo,
Wziąwszy strzałę zaostrzoną,
Aż do krwi zranił szaleństwo.
Zbroczone dziecko; beż żadnego względu
W chwili pierwszego zapędu,
Grzechotką swoją na kuzynka zmierza,
I tak potężnie uderza,
Przez czoło, oczy, powieki,
Że go zaślepia na wieki.
Na ten raz, na ból nieznosny,
Krzyk Kupida, i płacz głośny,
Na około się rozlega:
Wenus tym srogim jękiem perzerażona,
Raptownie z Marsa porywa się łona,
I na plac kłótni przybiega;
Ach! co za rozpacz, i żałości jaka!
Widzi syna jedynaka,
Dziecie swoje ulubione,
Ślepe, i we krwi zbroczone.
Jęczy, oblewa go łzami,
I sprawcę srogiego dziła,
Jużby własnymi rękami,

Na temże miejscu ubiła,
 Gdyby nie pamięć, że to szaleństwo bezczelne,
 Jak ona sama było nieśmiertelne,
 I że za tę niegodziwość,
 Chcąc otrzymać sprawiedliwość,
 Konieczna była potrzeba
 Na skargę jechać do nieba.
 Liczbie amorków, co jej wiernie służy,
 Rozkaz daje do podróży;
 Oni z wielkim czoła potem,
 Faeton lśknący się złotem,
 Wytaczają z wozowni, i na blizkim dębie,
 Biorą dwa śnieżne gołębie,
 Piersi, szyje, licznemi lśknące się kolory,
 W srebrze tkane wprzęgły szory:
 Nieodstępny w każdym razie
 Poczet zefirów mały,
 Jak gdyby maleńkie pazie
 W koło kolaski latały:
 Bogini lejce różowe,
 I zamiast bicia chwyta gałązkę myrtową,
 Siada, i syna obok siebie bierze;
 Powolne pięknej Cyterze,
 Już się wzbijały w górę ptaki białe,
 Kiedy szaleństwo struchlałe,
 Tak samo mówi do siebie:
 „Jeżeli przed Jowiszem w niebie,
 „Matka i synek pieszczony,
 „Zaczną swe prawić plotki i androny,
 „I niebian na mnie wzniecać zagniewanie,

„Bóg wie co się zemną stanie :
„Trzeba ażebym na swą całość pomny,
„Sam tej sprawie był przytomny.“
To mówiąc z cicha, że go nikt niezoczył,
Za faeton z tyłu wskoczył.
Lubo od wyspy Cytery,
Dość oddalone są niebieskie sfery
I pałac Boga piorunów,
Szparkość atoli skrzydlatych biegunów,
Roznosząc wonie torem całej drogi,
Bez żadnych trudów i znojów,
Wenus i dwa małe Bogi,
Stawi wśród świetnych Olimpu podwojów.
Na widok pięknej Bogini,
Lubość, i wdzięki roniące w około,
Szmer się przyjemny po Olimpie czyni,
Juno tylko marszczy czoło,
I wzrok jej dawne zazdrości oznaczył,
Lecz gdy Apollo, Mars, i Bogi młode,
Pożerały oczyma Wenery urodę,
I sam Jowisz łaskawie uśmiechnąć się raczył,
Młode Boginie, co mniej o to dbały,
Na ranę Kupidynka żałośnie patrzyły,
Szepecząc do siebie, patrz we krwi się broczy,
Szkoda chłopczyny biednego,
Bo choć całe nie dobrego,
Przedziwnie piękne miał oczy. —
W pośród tych szeptów do sprawy gotowa,
Już induktę zaczyna Cytery królowa,
Mówi z przytomnością rzadką,

Dokładnie, czule, i gładko.

Gdy z piękną twarzą, kiedy z białem łonem

Kobieta własnej sprawy jest patronem,

Wygrana ryadko watpliwa...

Perora równie, wymowna jak tkliwa

Już się skończyła; i kiedy Wenera

Ze łzami w oczach, nawet trochę blada

Na około się obziera,

Patrzy, widmo niepojęte,

Ni ztąd, ni z owąd wzięte,

Płochę szaleństwo wypada,

Staje pomiędzy Bogami,

I zdiąwszy małą czapeczkę z dzwonkami,

Mówić w obronie zaczyna:

Niemogło przeczyć, bo widoczna wina,

Lecz tonem głośnym i śmiałym,

Kłęło się z duszą i z ciałem,

Twierdząc, że wyspa cała tego świadkiem,

Jak się rzecz cała zdarzyła przypadkiem,

Pierwszy się zatarg wszczął od Kupidyna,

On zawsze ze mną zaczyna.

Jowisz widząc, żeby się na nic nieprzydało,

By głupstwo dłużej gadało,

Nakazuje milczenie, i na berle wsparty,

Tak treść swojego ogłasza wyroku:

„Szaleństwo, kiedy przez twe głupie żarty,

„Biedny Kupidyn pozbawiony wzroku,

„Że dziś jak żebrak ubogi,

„Niemoże nawet sam rozeznąć drogi,

„Ni w niczem sobie zaradzić,

„Ty co niechęący, czyli własną winą,
„Nieszczęścia jego stałeś się przyczyną,
„Będziesz go odtąd prowadzić:
„Czy to dla ludzi dobrem, czyli stratą,
„Mniej Bogowie dbają na to.“ —

Odstąpił Jowisz kochany,
Dekretu swego nieprzeglądał skutków,
Tłum kochanków nieprzebrany,
W krótkce wśród cierpień i smutków,
Często w skłonnościach zawodnych,
Nieraz w małżeństwach niezgodnych,
Doznał w niewczesnym i żalu i biedzie,
Że miłość szaleństwo wiedzie.

3. Czerwca 1807. na morzu, na wysokości
wysp Azorskich.

POWIEŚĆ VI.

Z Angielskiego.

M i ł o ś ć i R o z u m.

Było to rankiem pogodnego lata,
 Gdy się kwiaty i serca otwierają tłumem,
 Gdy niespodzianie ze dwóch końców świata,
 Miłość się zeszła z Rozumem.

Kupidyn gadał o śnie co miał wczora;
 Rozum rozmawiał o pięknej pogodzie,
 Czas był tak słodki tak piękna dnia pora,
 Że poszli razem chodzić po ogrodzie.

Chłopczyzna biegał, latał z mocy całej,
 Rozum poważnym postępował krokiem,
 A idąc, z swojej postaci wspaniałej,
 Cień długi rzucał, tym i owym bokiem.

Niedziw, że Kupid zimnem zdjęty tkliwym,
 Zwijał skrzydełka, i kulił się z drżeniem,
 Bo cień Rozumu ogromem straszliwym,
 Stawał między nim, i słońca promieniem.

„Być to niemoże, rzecze Kupid mały,
 Nie dla ciebie jednego to słońce stworzone,
 Jeżeli tylko sam o siebie dbały,
 Ja pójdę chodzić w te myrty zielone.“ —

Odchodzi, z głośnym i krzykiem i śmiechem,
Skacze, za każdym motylem się goni,
Cieszy się wdzięcznym zefirów oddechem,
I pije roskosz w słodkiej kwiatów woni.

Wśród drzew rodzajnych, i jasnych granatów,
Wszystko obrywał co znalazł na krzaku,
Tyle jadł fruktów, tyle wąchał kwiatów,
Że aż z sytości doświadczył niesmaku.

Lecz gdy w południe słońce wyniesione,
Płomień skwarnego rozlało upału,
Chłopczyzna czując siły swe zemdlone
Z zwieszoną główką czołgał się pomału.

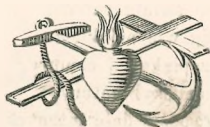
Czarne kędziorki pot mu oblał hojny,
Częstem się piersi wznoszą odetchnieniem,
Ach! gdzież naówczas był rozum spokojny,
Żeby go swoim, mógł ochłodzić cieniem.

Tam gdzie dąb ziemię krył wierzchem szerokim,
Gdy zmierza kroki mdlejące,
Znajduje Bóztwo w zamyśle głębokim,
Spokojnie w cieniu leżące.

„Przyjmij mię, rzeczce, na twe zimne łono,
Jeżeli niechcesz bym z upału zginął.“ —
Rozum swą szatę otworzył przestrogo
I tą Kupida w około obwinał.

Jak gdyby zimnym wskroś przejęty lodem,
Puls w nim bić przestał, krew się zatrzymała,
Niestety! zbytnim ostudzona chłodem,
Miłość na łonie rozumu skonała.

25. Lipcu 1807. w Paryżu.



P O W I E Ś Ć VII.

*Oryginalna.***Olimp i Ziemia.**

Pogański Jowisz, co światu całemu
 Nadawał prawa, Bóg wie pojakiemu,
 Co ślepo zsyłał czas piękny i chmury,
 Bozkie i ludzkie jednoczył natury,
 I kiedy nieraz z powodów dość marnych,
 Rozgniewał się i rozdał,
 Jednem zmarszczeniem brwi gęstych i czarnych,
 Ziemie w posadach swych wstrząsał;
 Lecz w pośród gniewu, niech jaka Dryada,
 Nimfa, co mówię, niech pasterka lada,
 Piękne na niego zwróciła wejrzenie,
 Jak młody chłopiec kochał się szalenie:
 I był kochanym, miał bowiem zalety,
 Które okrutnie szanują kobiety,
 Z tych więc zalotów na niebie i ziemi,
 To z Boginiami, to znów z śmiertelnemi,
 Nazbierał sobie córeczek i synów,
 Kilka tuzinów.
 Choć Bóg, miał błędy właściwe młodzieży,
 Ale tę słuszość oddać mu należy,
 Ze się z zalotów swych nigdy niechlubił,
 Był dobrym ojcem, i dzieci swe lubił;

Ilekróć Juno wierna jego żona,
 Zawsze zazdrosna, często zakwaszona,
 Chcąc sobie użyć wieczornego chłodu,
 Wyjechała na spacer do Samos lub Rodu,
 Natychmiast Jowisz znak dając wesoło,
 Pochowane po kątach dzieci zbierał w koło,
 Rządy nad światem losowi zostawił,
 I z dziećmi tylko i śmiał się i bawił.
 Razu jednego gromada kochana,
 Kiedy igrała u tronu podnożków,
 Jowisz jednego z pół-bożków,

Posadził na swe kolana,
 Ale przebóg! co za śmiałość,
 A raczej co za zuchwałość!

Białą swą rączką zaczął bożek młody,
 Igrać w kędziorach nieśmiertelnej brody;
 Przejęty Jowisz temi pieśczołami,
 Okrągłej twarzy, i czoła, ustami
 Dotknął się z lekka: dziecko się ośmiela,
 I władogromcy pieśczoł swych udziela,
 Rzuca na szyję rączęta oboje.
 A w tem widząc przed sobą złociste podwoje,
 Podwoje, pyszne nad wszystkie wyrazy,
 Bo odrzwi u nich z dyamentu głązy:
 A ciemny szafir, i hyacynt drogi

Składały progi.

„Cóż jest ta brama, blizka rannej zorzy?
 Ojcze, zawoła, każ niech się otworzy,
 Niech ujrzę co się za Olimpem dzieje.“ —
 Na to król Bogów słodko się rozśmiej,

A nieumiejąc nie odmówić synom,
Rozkazał bramę otworzyć godzinom:
Samem ruszeniem złocistych podwojów,
Jak słodkie granie fletni i obojów
Słyszeć się dało: ale jaka trwoga
Objęła umysł maleńkiego Boga,
Kiedy poniżej ognistego słońca,
Przepaść bezdenną bez granic i końca
Ujrzał pod sobą, ujrzał w czczem przestworze
Krążące światy w kul maleńkich wzorze!
Przelęknion, krył się na łonie Jowisza,
Gdy ten go krzepi i postrach ucisza,
On patrzy znowu, i gdy się wpatruje,
Powoli trwoga z serca ustępuje,
Co więcej mały chłopczyna,
Tym likiem światów bawić się zaczyna;
Jakoż te cacka dość były przyjemne,
Pomiędzy niemi widzi kulkę ciemną,
Na niej ciekawe dosyć widowisko,
Rzekłbyś, że jakie mrowisko,
A w niem z daleka, z pierwszego spojrzenia,
Jak mrówki małe stworzenia:
Mnóztwo ich wielkie, tysiące i krocie,
W okrutnym były ruchu i obrocie.
Z wielką szybkością galopem, zawodem,
Biegały w poprzek, wzdłuż na tył i przodem:
„I cóż jest, rzecze chłopczyna ciekawy:
Ten maleńki robaczek tak dumny i żwawy
Jakbym rad widzieć to stworzenie marne,
I tę cò na niej łązi kulkę czarną:“ —

Rozśmiał się Jowisz nad błędem dziecięcia,
 Niechcąc płochego zbijać przedsięwzięcia,
 „Możesz to, rzeczy, oglądać bezpieczny,
 Usiądź na promień słoneczny,
 I spuść się na dół, tam przed porą nocną,
 Zobaczysz co cię zadziwia tak mocno.“ —

Pół-bożek dalej niebada,
 Ale na czysty promień, oklep w siada;
 Dla bezpieczeństwa czyli też dla rady,
 Może tylko dla porady,

Jowisz wśród gieniuszów jednego wybiera,
 I daje chłopcu zamiast guwenera.

Już na promieniu błyszczącym się złotem,
 Suną się światła po lotem,
 Najprzód przez błonia gwiazdziste,
 Potem przez Eter i przez pola czyste;
 Pędzą nieścigli, a sunąc się dalej,
 Kiedy powietrza gęste przecinali,

Kula co z góry tak małą się zdała;
 Stopniami w całym ogromie stawiała:
 Wkrótce z zdziwieniem przez wilgotne chmury,
 Odkryli lasem zaczerwione góry,
 Później doliny i morze spienione,
 Wesole łąki, gaje umajone.

A tu i owdzie ruchome i cieńkie,
 Łączące po nich stworzenia maleńkie.
 W niepojętej wieczności nieprzerwanym wątku,
 Niema czasu, bo niema końca, ni początku,
 Już Bożek lat tysiące siedział na promieniu,
 A rzekłbyś w jednej chwili, w jednym oka mgnięciu

Wielkie narodów zmiany, zburzenia i gromy,
Snuły się w oczach jego, jakby sen znikomy!
Ujrzał najprzód ród ludzki pod skromnym szałasem,
Wędrujący po puszczech, osiadły nawiasem,
Ten zaledwie jał jakiś porządek wprowadzać,
Stawić miasta, siać niwy, i drzewa zasadzać,
Kiedy z otwartych niebios upuszczone wody,
Zalały plemie całe i prac ich zarody;
Jeden tylko człek z dziećmi, z kilku zwierzętami
Pływając na berlince po nad powodziami,
W towarzystwie kur, kaczek, kiernosów drapierznych,
Plugawych niedoperzy, i gołębi śnieżnych,
Uratował się cudem; w krótcie, maleńka družyna,
Znowu świat ten da capo rozmnażać zaczyna,
I tak się prędko mnoży i dziwnie rozplenia,
Iż ziemię całą tłumem wnuków swych zacienia;
Ci z pasterstwa, z swobody przechodząc w poddaństwo,
Ku wschodowi ogromne otworzyli państwo:
Tam jeden człowiek włada niezliczonem mnóstwem,
A gdy nadęty dumą rozumie się bóztwem,
Gdy mniema, że szeroko całym władnie światem,
Drugi człeczek wypada i ostrym bułatem,
Co wzniosły wieków tyle, i przemysł i praca,
Cwiertuje na trzy części, burzy i wywraca.
Dalej bożek w Atenach widzi ludzie czynne,
Umiejętnością, światłem przechodzących inne,
Widok ten Bożka zachwyca:
„Jak pięknie słońce przyświca,
Lubej krainie, rzekł do guwernera,
Patrz ile cudów ten kątek zawiera,

Jakie w boju szyki dzielne:
 Czy słyszysz wieszczków pienia nieśmiertelne?
 Co za gmachy, posąg tłumami się wznoszą,
 Wszystko błyszczy dowcipem, albo tchnie rokoszą,
 Wszędzie wolność w którą się te narody wzbiły,
 Podnosi człeka Gieniusz, zdolności i siły! —
 Ledwie się bożek świetnym ucieszył widokiem,
 Kiedy chytry król Filip spieszny dąży krokiem,
 I na plemie Milciada,
 Pozłoczone jarzmo wkłada;
 Za nim leci szalencie, lotem błyskawice,
 Wywraca państwa, pali pyszne ich stolice,
 Napełniwszy świat w szrankach dotąd niezведzonych,
 Odgłosem sławy swojej i płaczem zwalczonych,
 Nabawiwszy się światem przez lat kilka życia,
 Poległ, na rozszarpanie, niezmierne podbicia
 Zostawując swym wodzom: dalej bożek mały
 Kraj na zachodzie, co go dwa morza oblały
 Spostrzega: tam nad Tybrem, lud prostych pasterzy,
 Zmienia się w świetnych wieszczków i dzielnych rycerzy,
 Co tylko miłość kraju, i cnoty i sławy,
 Co duma, chciwość, zemsta, zbrodni poczet krwawy,
 Piękności lub szkarady w dziejach wyobraził,
 Tem się lud ten olbrzymi, uświetnił lub skaził;
 Lecz wkrótce za swe zbrodnie ciężkie poniósł kary,
 Niegodnego wolności, wyniosłe Cezary
 Twardym berłem ujęły. Już wieki mijały,
 Już się przed ich obliczem uciszył świat cały,
 Alć od gór Uralu, z łona ciemnej nocy,
 Chmury nieznanych ludów wznoszą się z północy,

Jakby pod groźną falą uchodzące wody
Cisnąc się gęstym tłumem naród na narody,
Dziedzictwa panów świata zalały ze szczeniem.
Znowu się ziemia burzy okropnym odnętym,
Pękł łańcuch który świata powiązał narody,
I wszystko w barbarzyństwie osiadło jak wprzody:
Znów ród ludzki z trudnością, przez podstęp nieskory,
Od dzieciństwa do męskiej przybliżał się pory,
Jął ostrość obyczajów oświata łagodzić,
Nieraz zbliżać się dawnych, czasem ich przechodzić,
Budził się i zasypiał, znów gdy się ocucił,
Zamiast co złe naprawić, to dobre wywrócił.
Umiał z tego korzystać Macedończyk drugi,
Lecz i ten przyniósł klęski na miejsce usługi,
Zatrząsł światem, i upadł: po takim wstrząśnieniu
Po tak wielkiej nauce, ciężkiem doświadczeniu,
Pewien maleńki Bożek, (że Książęta możni,
Więcej będą niż dotąd mądrzy i ostrożni),
Ciekawy widzieć jak się to wszystko odmieni,
Maleńkę perspektywę dobywa z kieszeni,
I patrzy pilnie, alie na miejsce poprawy,
Widzi dawne zazdrości i chciwość i wrzawy,
I niechęć szczerą, złemu położyć już tamę,
Lecz znowu dawne głupstwa, szaleństwa też same.
Zmęczony tym widokiem: — „Ach, jakież to plemię,
Zawołał, obarczyło tę nieszczęsną ziemię!
Nigdzie zdrowego sensu, kawałka rozsądku,
Zaledwie z barbarzyństwa przyjdą do porządku,
Wzniosą się jak przystoi na mądre stworzenia,
Wnet szal jakiś nieszczęsny, dzikie zaślepienia,

Burzą je, i gdy krwawe ukończą zapędy,
Znowu też same passye i też same błędy.
Ludy chociaż prawd wielkich nieprzystają głośić,
Łatwiej jarzmo, niż wolność umieją ponosić:
Względem poddanych, książąt te jedynie cele,
Nie żeby mieć szczęśliwych, lecz żeby mieć wiele.
Niemasz widzę nadziei, by liche stworzenia
Były kiedy godnemi swego przeznaczenia;
Z początku mię bawiły, lecz już teraz nudzą,
Niechaj się rzną, niech duszą, niech napróżno trują,
Czas powrócić do nieba. “ — Te słowa gdy skończy,
Znów na tymże promieniu i jak wprzódy rączy
Stawa u nóg Jowisza, a gdy opowiada
Co widział, cały Olimp z śmiechu się pokłada;
Rzekł mu Jowisz: — „Szczególnieś widział waryaty,
Szczęście, że nie tak wszędzie między temi światy,
Co w około nas krążą rozlicznemi tory,
Są lepsze, rozsądniejsze, doskonalsze twory,
Co przedwiecznej mądrości rządzą się ustawy,
Ta ziemia służy tylko dla naszej zabawy.“

29. Czerwca 1815.

P O W I E Ś Ć VIII.*Oryginalna.***T r z e w i k i.**

Był szlacheć słuszny i dosyć majątny,
Miał córkę wcale przystojną:
Ojciec na przyszłe szczęście jej pamiętny,
Łożył na nią ręką chojną,
Wyborny dając rodzaj wychowania,
Nieszczędził kosztu ani też starania.
Umiała ona walcować,
I haftować i malować,
W pośród świetnego balu,
Uchwyciwszy kawał szalu,
Wzbudzała oklask przez cudne obroty,
Nikt nad nią lepiej nie tańczył gawoty.
Nie dziw, że przymiotów tyle,
Roje kochanków ściągały bez miary;
Lecz Panna wcale niemiła,
Przyjmowała ich ofiary,
Każdemu miała coś do zarzucenia,
Ten był niedosyć wielkiego imienia,
Ów nie bogaty, nie piękny, lub stary,
W każdym znalazła przywary.
Troskliwy ojciec, że gdy tak dłużej pobędzie,
Panna na koszu osiedzie,

Woła swej córki i tak się odzywa:

„Kochana Basiu, czas szybko upływa:

„W dojrzałego wieku porze,

„Martwią mnie twoje trudności w wyborze,

„Pierwsze jest każdej panny powołanie,

„Myśleć o małżeńskim stanie:

„Lecz wybrydzać nienależy,

„Masz tyle w koło dorosłej młodzieży,

„Upatruj męża, nie z powierzchownych rzeczy,

„Lecz z tego co ci szczęście zabezpieczy.

„Może ci to śmiesznym zda się,

„Lecz względem męża w liczbie zalotników,

„Rozsądna panna tych reguł trzyma się,

„Co względem swoich trzewików:

„Gdy jedziesz na bal, wszak jak można małe

„Bierzesz trzewiki atlasowe białe,

„By tylko pyłek na podłodze zmiatać,

„Nietykać ziemi, ale prawie latać,

„Takie trzewiki dobre do tańczenia:

„Do codziennego chodzenia,

„Innych potrzeba, nie tak bardzo modnych,

„Lecz za to mocnych, wygodnych,

„Takich w którychbyś mogła w każdej porze,

„Czy to pogada, czy słota na dworze,

„Czyli to suche, czyli mokre drogi,

„Bezpiecznie chodzić niezmoczywszy nogi.

„Toż samo z mężem: inna rzecz jest wcale,

„Pośmiać się trochę lub jechać na bale,

„A inna w dobrym, alboli w złym bycie,

„Ciągle pędzić całe życie.“

Basia nie całkiem zrozumiała radę,
I na pół tylko zprostowała wadę,
Dwie par trzewików wzięła do zmienienia,
Jedną do balu, drugą do chodzenia.

Czym źle czy dobrze te bajkę powiedział.
Chwały lub wstydu mnie to uieuczyni:
Jam tylko rymy do kupy poskładał,
Myśl podał grzeczny Badyni.



POWIEŚCI XX.

Oryginalna.

M i ł o ś ć i W a b n o ś ć *).

Lubo przyjętem na świecie mniemaniem,
 Ze wyspa Pafos jest bardzo zabawną,
 Że tchnie woniami, brzmi wdzięcznem śpiewaniem,
 I z samych rokosz jest sławną:
 Mnie jednak wieści doszły o tem sprzeczne,
 To jest, że Kupid, Nimfy nawet płocze,
 Czasami nudzą się troche.
 Kto to powiedział, niechaj damy grzeczne,
 Niechcą się pytać: mimo ich uporu
 Niepowiem, bom dał me słowo honoru:
 Czemuż koniecznie, zkąd to wyszło, śle
 Niedość że rzecz samą wiedzieć?
 Na wyspie Pafos między ciemnym gajem,
 Jużem to wprzód powiedział,
 Jak sułtan swoim otoczon serajem,
 Wśród Nimf nadobnych Kupidynek siedział:
 Hoże dziewice ozdobnie ubrane,
 Szczerze do swego Bożka przywiązane,
 Na to swe myśli jedynie siliły,
 Jakby zepsutą chłopczynę bawiły.

*) Wabność, po francuzku *coqueterie*.

Lecz próżno w tańcach ruchem pełnym wdzięku,
Zmijały trawkę nóżkami drobnemi,
Próżno do lutni jęczącego dźwięku,
Łączyły pienia chóry dobranemi,
Na próżno dowcip, wesołość szczęśliwa
I hoża piękność, płochość szczebiotliwa,

Szukały, coby Bożka rozerwało;

Rzadko się kiedy której z nich udało:

Równie dla Bogiń, jako też dla ludzi,
Trudno jest bawić tego co się nudzi,
Nieraz gdy Echa, śmiechy powtarzały,

Któżby się tego spodziewał,

On na to wszystko niedbały,

Zadarłszy główkę poziewał.

W tak smutnej rzeczy postaci,

Wabność co razem jest piękna i ładna,

Zawsze ponętna, często bardzo zdradna,

I nigdy głowy nie traci:

Niby to nową wymyśla zabawę,

Idźmy, rzecze, na murawę,

Tam lepiej niżli w tej sali,

W ślepą babkę będziemy grali.

Komu sytości choroba,

Wykwintną roskosz obojętną czyni,

Temu się czasem i fraszka podoba.

Rupidyń na myśl Bogini

Chętnie zezwala, i wraz z całym gronem

Zaczyna płasać na smugu zielonem

Bardziej niż kiedy wesół i ochoczy;

Nietrzeba było zawiązywać oczy,

Bo miał związane: już Boginie hoże
 Rozproszyły się między jaskiny i róże,
 Każda z nich suwa jak łania,
 On się za niemi ugania,

Kręci się w koło, a w każdym ruszeniu,
 Trzęsie się kołczan na małym ramieniu:
 Znużony biegiem, skrzydełka rozwija,
 Miga się szparko na powietrzach czystych,
 Tę skrzydłem dotknie, tę niezręcznie mija,
 Niesłychać jak krzyk i śmiechy!
 Wśród tych gonitw i uciechy,
 Zważano z boku, że czułość lękliwa,
 Kiedy się za krzak myrtowy ukrywa,
 Przeciwnie Wabność płocha i łudząca
 Wysuwa się i sama Bożkowi natrąca.
 Niedziw więc, że ją Rupid złapał snadnie,
 I gdy się Nimfa, wstydem niby kryje,
 Inne Rupida pytają wesoło,
 Którą z nich złapał, czyli imię zgadnie:
 On, niesłuchając uczepion za szyję,
 Całuje usta, i piersi i czoło:
 Lecz nie nie mówi, aż Wabność zdradliwa,
 „Nieznasz mię, woła, jam jest czułość tkliwa.“ —
 Chłopczyzna na to rzecze jej z uśmiechem,
 „Dla ciebie zwodzić nie jest więcej grzechem,
 Wiem ja kto jesteś, masz pewne znamiona,
 Choć ślepy znam cię i z twarzy i z łona:
 Szczerem westchnieniem, pierś się twa niewznosi,
 Ani łaza rzewna jagody twej zrosi,
 A zimne serce z skłonnościami zgodnie,

Nie bije silnie, lecz chodzi wygodnie.
Można się z tobą pośmiać i zabawić,
Ale z czułością lepiej życie trawić.“ —

12. Marca 1808.



P O W I E Ś C I.

*Ucinek z Juwenalisa Satyry VIII.***Wyrok Jowisza.**

*Nam quid rancidius quam quod se non putet ulla,
Formosam, nisi quae de Thusca Graecula facta est;
De Sulmonensi mera Cecropis omnia Graece,
Cum sit turpe magis nescire Latine,
Hoc sermone pavent, hoc iras, gaudia curas;
Hoc cuncta effundunt animi secreta.*

Toż po Polsku.

Cóż przykrzejszego jak gdy żadna się nie miała,
Piękną, jeżeli Fracuzką z Polki się nie stała,
Z Kaszubki Paryżanką, wszystko francuzczyzną,
Choć to szpetniej dla naszych, złą mówić Polszczyzną,
Tym się językiem lęka, troszcze, cieszy, gniewa,
Tym wszystkie duszy swojej uczucia wylewa.

Karpiński.

Gdy możnym Rzymem władali Cezary,
Kiedy dawne obyczaje,
Psuć się zaczęły, a zbytek bez miary,
I wszelkich przywar rodzaje,
Rzym ogarnęły i Rzymskie matrony,
Wtenczas orzez zawrót szalony,

Co tylko było ojezystem prawdziwie,
Wyśmiewano uszczypliwie,
Chwalono obce: błahe wynalazki,
Skoro nie swoje, ściągaly oklaski:
A co najgorzej pleć piękna, pleć miła,
Tej się zdrożności chwyciła
Tak, że gdy młodzian wśród wonnych zapachów,
Przyszedł do prawnuczki Grachów,
Nic tam nie znalazł Rzymskiego,
Wazy, naczynia, cały sprzęt bogaty,
Obuwia, księgi i szaty,
Wszystko to z kraju obcego:
Całe tych kobiet rozmowy,
Taki w Atenach wyszedł ubiór nowy,
Żyjącym w Rzymie, Ateny się śniły,
Do tego wszystkie zabiegi dążyły,
Żeby zebrawszy co można pieniędzy,
Lecić do Aten czempredzej.
Ta lekkość chuci, aczkolwiek jest zdrożna,
Przecież darować ją można,
Miło się w kunsztach pięknych trzymać wzorów,
Lecz obruszyło Cenzorów,
To co narodowość tyka,
Wzgarda Rzymskiego języka,
Pierwsze matrony i zacne i lube,
Miały to sobie za chlubę,
Ojczystej mowy mało co rozumieć,
A często wcale nieumieć;
Do tego stopnia przyszło już zgorzenie,
Że obce mistrze, przyszłe pokolenie,

Ucząc, wlewały w umysły ich z młodu,
 Niechęć do własnego rodu,
 Wszystko co tylko młódź tę otaczało,
 Mową Homera gadało;
 Nie dosyć, mamka maleńkiemu dziecku
 Piersi dawała po Grecku!
 Za tym przykładem młódź chciwa zalety.
 Z tego co lubią kobiety,
 Chociaż często niegodziwie,
 Jęła po Grecku paplać szczebiotliwie,
 A nawet głosić przed sprawionym szykiem,
 Rozkazy obcym językiem!
 Gdy ostre prawa, surowe zakazy,
 Nie powściągały tej skazy,
 I tak dzikiego zmysłów obłąkania,
 Senat wśród klęsek, zwykłych użył kroków,
 Ogłosił posty i święte błagania,
 I szedł Jowisza radzić się wyroków.
 Po pysznych stopniach, kapitołskiej skały,
 Poważnym krokiem dostojni ojcowie,
 Szli do świątyni: lud czekał zdumiały,
 Co raczą wyrzec bogowie:
 Już konsul stawą przed tronem Jowisza,
 Krew się błagalnej ofiary rozlewa,
 Senat, kapłani i lud się ucisza,
 Gdy tak się *Curius Dentatus* odzywa:
 „Królu Niebianów i władco wszech rzeczy,
 „Ty co dzielne Marsa plemię,
 „Mieć raczyłeś w twojej pieczy,
 „I pod moc jego podałeś tę ziemię,

„Srogie nieszczęścia smutek niesłychany,
„Obarcza twoje Rzymiany,
„O to przez ciężkie losów ukaranie,
„Czy przez zmysłów pomieszanie,
„Nie pomne przodków zaszczytów,
„I własnego rodu chwały,
„Żony i matki Kwirytów,
„W ojczystej mowie, raptem oniemiały;
„Żadna swym mówić językiem nie raczy,
„Obcym się tylko tłumaczy:
„Ach! widzę jakie klęski, za tak ślepym błędem,
„Na państwo rzymskie szybkim runą pędem,
„Przez wspólny język z narody obcemi,
„Zgaśnie miłość własnej ziemi,
„Oddzielność mowy i szat i zwyczajów,
„Te jedne czynią niepodległość krajów:
„Gdy wszystkie ludy w jednym staną rzędzie,
„Nikt ojczyzny mieć nie będzie.
„Ja drzę, bym choć już w starości sędziwej,
„Nie doczekał się tej hańby wstydlivej:
„Chciej panie na Rzym wzrok łaskawy rzucić,
„Powiedz jak klęskę tak ciężką odwrócić.“
Łzy rzewne mowę konsula przerwały:
Tu Jowisz zmarszczył czoło zasepione,
Świętego gmachu przystępy zadrżały,
Tyber swe wody zmęczone,
Wstecz biegu cofnął: Jowisz grzmiącym głosem
Tak swe rozgłasza rozkazy:
„Surowych lekarstw dla ciężkiej zarazy
„Użyję, jednym złe wyglądzę ciosem,

„Nad względy dla płci, w sercu mem przemaga
 „Ludu Rzymskiego zniewaga;
 „Na piekła, z Styxu potrójne zatoki,
 „Przysięgam, że dziś przekłęstwa wyroki,
 „Dopełnię wiernie: jeżeli odtąd która,
 „Z Rzymianek matka, żona, albo córą,
 „Do Rzymianina po Grecku zagada,
 „Niech na jej lice padnie niemoc błada,
 „Niechaj gdy kogo tą mową zagadnie,
 „Za każdym słowem dwa wdzięki opadnie;
 „Straszniejsze nad te ustanowię kary,
 „Tej co się zdrożnej nie zrzeeze przywary,
 „I trwać w nałogu zechce uporczywo,
 „Czypek na głowie leżeć będzie krzywo,
 „Pomięte wstażki, co włożyć się zdarzy,
 „Wszystko niebędzie do twarzy,
 „Nakoniec jako odrodna Rzymianka,
 „Nie znajdzie męża ani też kochanka.
 „A wy Rzymianie pomni na pradziadów,
 „Zrzeczcie się zdrożnych przykładów,
 „W czem sławni, można Greków naśladować,
 „Lecz trzeba mowę ojczyztą zachować,
 „Kto się jej zaprze, na tym wieczne znamie
 „Ostrej śmieszności wycisnie me ramie,
 „Choć by go pyszna okryła ozdoba,
 „Nigdy się pięknym oczom nie podoba,
 „Nie zyska sławy, walcząc z przeciwnikiem,
 „I całe życie będzie porucznikiem.“ —
 Rzekł i przedwieczną na dół chyląc głowę,
 Przestraszył świata połowę.

Surowy wyrok rozgłoszon po mieście,
Zatrwożył młodzież i plemie niewieście,
Na myśl przekłęstwa matrony struchlały,
I odtąd tylko po Rzymu mawiały.

16. Paź. 1810. w Puławach.



POWIEŚĆ XI.

Oryginalna.

Miłość przebrana.

Synek kochanej Cytery,
 Będzie temu wieków cztery,
 Z wrodzonej sobie do złego ochoty,
 Tyle porobił już psoty,
 Tyle męki w sercach sprawił,
 Że się szkaradnie osławił;
 Jak zły szeląg wszędzie znany,
 Podobny szalbierzowi co się kłamstwy zmazał,
 Był od wszystkich unikany.
 Kędy się tylko pokazał,
 Kędy ujrzano lubie straszydełko,
 Płoszczyk od strzały, albo też skrzydełko,
 Natychmiast panny, młodzieńcy,
 Uciekały o milę albo też i więcej:
 Przyszło do tego, że Kupida razy,
 Nikogo w świecie nietknęły,
 Lecz przebóg! cięższe zarazy
 Pomiędzy ludźmi się wszechły:
 Bo gdy człowiek ani trocha,
 Dla pięknych oczu nieczuje,
 Kiedy się sobą zajmuje,
 I sam siebie tylko kocha,
 Nastały nudy i smutki,
 Szkaradnego samolubstwa skutki,

Więcej poczyniły zbrodni,
Niż wszystkie błędy kochania:

Szczęściem, że Bożek pochodni,
Zaradził temu przez swoje starania

Bo gdy go pogarda drażni,
Postanowił zemścić się w sposób niegodziwy:

Wziął na się postać przyjaźni,
Jej układ nawet jej ubiór właściwy,
Leciuchną suknię z muślinu odziewa,
Tureckim szalem skrzydełka zakrywa,
Czarne kędziorki, i wzrok bystrooki,

Przyćmił kapelusz głęboki,
Nic na nim próżnym blaskiem nie jaśniało,
Rózu nie wcale albo bardzo mało.

Skromny w ruszeniu, z powłoczystym wzrokiem
Na publicznej przechadzce chodził sobie bokiem;
Lecz powie Zoil, jakże Rupid mały
Mógł przybrać postać kobiety dojrzałej?
Śmieszne pytanie? chociaż trochę cienki,

Nie jest on bardzo malenki:
Z tej strony wielu jest w błędzie.

Lat temu zgórą już trzydzieści będzie
Gdym poznał z blizka Beżyszcze zdradliwe,
I śmiem zapewnić na słowo uczciwe,
(Choćby kto temu niewierzył z przekory):

Że to chłopiec wcale spory,
A nadto u trzewików miał wysokie korki
Lecz mniejsza o to; zbierać zemnie wzorki,
To rzecz nie nowa: Ja mimo tę zrzędę,
Dalej mą bajkę opowiadać będę,

Gdy więc tak chodzi, zwolna zamyślony,
 Alić Damon postacią przyjaźni zwiedziony,
 Zbliża się, a że ciężkie miał w duszy zmartwienia,
 Chcąc je pocieszyć przez ufne zwierzenia,
 Niepostrzegając, by najmniejszej zdrady,
 Zasięga od miłości, przyjaźni, porady;
 Tu zaraz Kupid przez lepsze nadzieje,
 Słodką pociechę w serce jego leje,
 I smutki koi; tak gdy się ukrywa,
 Wkrótce z pod szalu, strzałeczki dobywa,
 I niepostrzeżenie jak by szpilką właśnie,
 Trochę go w serce zadraśnię.
 Natychmiast Damon wzruszenia nieznane,
 I jakąś w sobie postrzega odmianę:
 Już nie pyta o rady, chwali tylko wdzięki
 Przyjaźni i na własne użala się męki;
 Im dłużej mówi, więcej się wpatruje
 Tem żywszy zapal, w sercu swoim czuje,
 I gdy mniema przez słodkie nader omamienie,
 Że tylko przyjaźń wielbi, już kocha szalenie.
 Cieszy się zdrańcy Kupid a co chwila bokiem,
 Z pod kapelusza bystrem rzuca okiem:
 Postrzega to w bliskości młodzież przechodząca,
 Rzecz jeden drugiemu gdy go bokiem trąca,
 „Wyznaj, że jest w przyjaźni coś bardzo miłego,
 „Coś, co duszę pociąga, coś ujmującego,
 „Patrz jak Damon w jej rady, chce się przysposobić,
 „Pójdźmy i my: bez tego niemamy co robić.“
 Poszli, i zaraz Bojomir odważny,
 Zalotny Zdzisław, i Erast poważny,

I Filon w leciech niewinnych,
Damis i Kleant, wielu jeszcze innych,
Mniemaną przyjaźń otaczają w koło,
Mówią dowcipnie, śmieją się wesoło:
A nasz Kupidyn z nieśmiałem wejrzeniem,
Z skromną postacią, ze słodkiem mówieniem,
Odpowiada każdemu, wnet sam się rozwodzi,
Że jedna tylko przyjaźń życie słodzi,
Że największa pociecha w wzajemnej ufności,
A niech Bóg broni słowa o miłości:
Zachęceni młodzieńcy bez bojaźni żadnej,
Tulą się wszyscy do Bogini zdraudnej,
A gdy się tłoczą na swoją niedolę,
Ona każdego strzałeczką ukole.
Znikły rozmowy i wesołość żywa,
Każdy swój płomień przed drugim ukrywa,
Jeden uśmiech lub słowo co z wiatrem uleci,
W sercach niegdyś przyjaznych czarną zazdrość nieci.
Nie widać jak miłosne ukradkiem spojrzenia,
Nie słyszeć jak głębokie i ciężkie westchnienia,
Wciąż się szerzy zaraza, dalecy czy blizcy,
Jak jakie waryaty kochają się wszyscy.
Słowem, jawny Kupidyn wprzód w całej swej sile,
Nie odniósł tyle zwycięstw, nie zranił serc tyle:
Rontent z swego fortelu, pełen uniesienia
Postrzegł, że ten najlepszy sposób uwodzenia,
I odtąd czy to na wsi, w mieście, czy na dworze,
Zawsze się pokazuje w przyjaźni ubiorze.

20. Lutego 1811.

POWIEŚĆ XII.

Naśladowana z Dżan Batysta Roberti.

**Samice Ptasząt w poselstwie
do Jowisza.**

Płci luba, godna wszystkich uwielbienia.

Ty, co kiedy byłem młody,

Słodką twą mową, pięknoscią urody,

Wzbudzałaś we mnie żywe uniesienia,

Którą ja głosił i prozą i rymy,

Nie chcę, bym w chwilach mej zimy,

Miał wyrzec na cię choć słówko wątpliwe,

Lub rzucić pocisk co rani:

Niech kto chce bazgrze wiersze uszczypliwe,

Lepsze jesteście jak ten co was gani.

Pozwólcie jednak, dać wam radę szczerą,

Co niekrzywdzi ani drażni,

Wszak to dowodem przyjaźni,

Wszak bajka nie jest Satyrą;

Powiem więc bajkę i tą nieurażę,

A ta wam wiernie ukaże,

Jakie natura w odwiecznej mądrości,

Wkłada na was powinności,

Prawa, co w stanie zameścia

Źródłem są roskosz i szczęścia.

Wśród ptasząt nie tak, jak między kobiety,

I świetne dary i piękne zalety

Rozdały Nieba wspaniałe:
Prawda kobiety nieśmiałe,
Zyskały słabość w udziale;
Lecz za to jak skarbów wiele,
Blask piękności gładkość lica,
Ten głos co nas tak zachwyca,
Tak silnem na sercu naszym:

Inaczej w rodzaju ptaszym.

U nich, acz przykro powiedzieć, jednakże
Ten co jest mocnym, najpiękniejszym także,
Niedosyć natem, gdy samiec wspaniały,

Małżonkę swoją przyzywa,

I głośnym pieniem napełnia gaj cały,

Wten czas żona nieszczęśliwa,

Zaledwie trzema odpowie sylaby,

Tak głos jej bardzo jest słaby.

Czułe na to pokrzywdzenie,

Dalekie mężów, upatrzawszy porę,

Damy nasze ciemno piore,

Zwołały do ogrodu walne zgromadzenie:

Wiele tam było świergotu,

Koło wspólnego kłopotu,

Uradziły nakoniec poważne samice,

By niezwłocznie czeczotkę, ziembę i szczyglicę,

Ze skargami w poselstwie wysłać do Jowisza.

W lot stawają posłowie, Olimp się ucisza,

Zaczyna ziemba: „Pierwszy między Bogi,

„Jowiszu, który w nieustannym trudzie,

„Zarówno rządysz i wróble i ludzie,

„Do ciebie niesiem żal pokrzywdzeń srogi:

„Nie będzie nigdy w domach naszych zgody,
 „Ani małżeńskiej jedności,
 „Aż raszysz panie przypuścić nas w przody
 „Do wspólnej z samcy równości;
 „Dotąd nasi mężowie wszystkie zyski mają,
 „Jaśnieją pióry i sami śpiewają,
 „Chciej sprawiedliwiej podzielić twe skarby,
 „Lub daj głos wdzięczny albo piękne farby.“ —
 Skończyła ziemba; Jowisz się obudził,
 I z miną którą mają Monarchowie,
 Gdy ich kto prośbami znudził,
 Tak im w krótkości odpowie:
 „Nie“... lecz w tej samej dobie,
 Szczęściem przypomniawszy sobie,
 Jak mocarz w słowach grzecznie powiedzianych,
 Pozyskać może serca swych poddanych,
 Jak odmawiając, pogłaskać spojrze niem:
 Wypogodziwszy nieśmiertelne lice,
 Tak znów mówił z przymi leniem:
 „Piękne moje posłanice,
 „To coście chciały, już miałem uczynić,
 „Zem nie powiedział, niechciejcie mię winić,
 „Niepochodzi to z surowości zbytku,
 „Lecz dla własnego waszego pożytku;
 „Gdybym ja waszem żądaniom dogodził,
 „Na czemżeby czas wasz schodził,
 „Na umizgach, na kochaniu,
 „Na nowych piosnek składaniu,
 „Gotowebyście robiąc różne miny,
 „Patrzeć się w źródle przez całe godziny,

„Dzień za dniem, na temby mijał,
„I któżby proszę gniazdeczka uwijał,
„Któżby je puchem okrywał,
„Siedział na jajach, dzieci wychowywał;
„Czyli płocho rozumiecie,
„Że tak jak żona, mąż dba o swe dziecko,
„Kto wie coby się w lesie, co po gniazdach działo,
„Rodzaj wasz na tem musiałby szwankować;
„Lepiej więc dawne ustawy zachować,
„Nieście się, dbajcie o maleńkich zdrowie,
„A niech śpiewają mężowie.“ —

1. Listopada 1811.



P O W I E Ś C I.

KSIĘGA DRUGA.

POWIEŚCI.

KSIĘGA DRUGA.

POWIEŚĆ I.

Oryginalna.

Nowy Sąd Parysa.

Nikt z nas zapewne temu nie zaprzeczy,
Że wielka zmiana i gustu i rzeczy,
Że jest różnica i przedział daleki,
Między naszemi a dawnemi wieki!
Ta prawda jaśnie będzie dowiedzona,
Sprawą świadomą u wszystkich badaczy,
Co w Grecyi w jeden sposób osądzono,
A u nas wcale inaczej.

Na górze Ida, jak wszystkim wiadomo,
Gdy trzy Boginie przyszły pokryjomo,
Do Parysa stróża trzody,

By o pierwszeństwie sądził ich urody;

Pasterz ów piękny i luby,
Nieznając żadnej rachuby,
Prócz czucia i uniesienia,
Z pierwszego zaraz spojrzenia,
Wzgardził bogactwy, niechciał mądrości,
I jabłko oddał piękności;
Dziś modny Parys, jestem tego świadek,
Gdy się lepszym zdaniem rządził,
Podobną sprawę, podobny przypadek,
Wcale przeciwnie osądził.
Ten nie na Ida, ale na kanapie,
Kiedy sobie z wolna chrapie,
W rozpiętym fraku, cały rozmamany,
Pachnącą wódką oblany,
Widzi trzy Boginie główne,
Lecz jak i pierwsze w powabach nierówne.
Hoża przystojna, lecz nieco surowa,
Weszła Zoe, jak gdyby córa Jowiszowa:
Ja ci, rzekła, odkryję mądrości krynice,
I przyrodzenia wszystkie tajemnice,
Jeżeli mię pojdziesz: ledwie skończyła te słowa,
Alić Egle jak gdyby Cytery królowa,
Wchodzi świeża, piękna, ładna,
Wdzięczna, powabna i składna,
Biała, usta jej były koralowe,
A w ustach ząbki perłowe,
Ciąg gęstych rzęsów słodkim cieniem mroczy.
Błękitne oczy;
Co rzekła niewiem, bo mniej słowa ważę,
Dosyć piękności kiedy się pokaże,

Na tyle wdzięków i lubości tyle,
Niewiem co by się z sędzią naszym stało;
Lecz gdy w jej postać wpatruje się mile,
Trzecie się Bóztwo wyrwało,
Była to Kloe, niby to Junona,
Duża, tłusta, i czerwona,
Suknia jej dziwnie bogata,
Lecz sama brzydka, i troszkę garbata,
Nos miała wielki, nieco rude włosy;
Ta w rękę niosła wielkie złota trzosa,
Na wszystkich palcach duże solitery,
I klejnotów skrzynek cztery:
Wszystko to, rzekła, co jest tylko mojem,
Jeżli mi dasz pierwszeństwo, wraz stanie się twojem.
Dam więcej jeszcze: tu Bogini mała,
Cztery mu piękne gwiazdy pokazała,
Klucz Szambelański, sześć małych krzyżyków,
Dwa złotych, siedm małych medalików.

Na widok trzosów brzęczących,

I tylu cacek wabiących,

Nie waha się Parys modny,
Wieku swego nieodrodny,
Z Minerwą i Wenerą pożegnanie skróca
I cały się na złoto i garbuska rzuca.

P O W I E Ś Ć II.

*Oryginalna.***Spór o pierwszeństwo.**

Passye co nam życie burzą
Same się z sobą skłuciły:
Jak kiedy czarne nieba się zachmurzą,
I pioruny co długo w swem łonie karmiły,
Wyzioną z straszliwem grzmieniem,
Z podobną wrzawą, z takim uniesieniem,
Wściekle namiejętności jęły spory wodzić;
Na próżne były dobrych dusz starania,
Wedle sporów pojednania,
Któż mógł kiedy passye zgodzić!
Głos jeden, drugie nieprzestawał tłumić:
Nakoniec, kiedy nawet nadzieje stracone,
Żeby się mogły zrozumieć,
Poleciały jak szalone,
Przed tron Jowisza zanosić swe skargi.
Lecz o cóż proszę tak wielkie zatargi?
Powiem w dwóch słowach: o to szła rzecz cała,
Która z namiejętności pierwsze miejsce miała.
Lecz już wszystkie wleciały w Olimpu podwoje,
Każda szerzy swe prawa, wymagania swoje,
A kiedy z uniesieniem, z obłądnym wyrazem,
Jęły wszystkie wrzeszczeć razem:

„Cicho, zawołał Jowisz, szaleńce przeklęte,
Szanujcie to miejsce święte;
Słyszac te krzyki, te wrzawy, tę trwogę,
Ja was zrozumieć niemogę:
Do każdej sprawy obrony,
Niech raczej staną patrony.
Nie wiele było trudności,
Nie trzeba było co na rękę dawać,
W sprawach namiejętności.

Sami Bogowie podjęli się stawać,
Wyniosłej rządziły podbić, Mars Bóg wojen bronił,
A gdy mówił, zdało się, że zastępy gonił;
Wenus za lubieżnością z tak słodkiem uśmiechem,

Z taką mówiła pieszczotą,
Iż rzekłbyś, że niebyła ta passya grzechem,
Ale raczej była cnotą.

Rozśmiał się Olimp cały, gdy próżność twierdziła
Że nadewszystkich mędrszą i piękniejszą była.
Pluto co lubi pełne złota trzosa,
Chciwość i skąpstwo wznosił pod niebiosy,
A Merkury wymową wszystko podbić zdolną,
Jasno bardzo dowodził, że nawet kraść wolno;
Słowem, każda passya znalazła obrońcę,
Dowodzącego, tak jasno jak słońce
Swoje pierwszeństwo: kolej na zawiść przychodzi,
Alić w obronie żaden z Bogów nie wychodzi,
Každy odwraca oczy od brzydkiej poczwary,

Ona nieczując zasłużonej kary,
Z złości trzęsąc się cała, z grzywą najeżoną,
Z wklęsłym w policzkach okiem, z paszczą zapienioną,

Zżymając się wypada, na nie niepamięta,
Nie passye same, bardziej cnoty i talenta,
Jej bluźnierstw, zawziętości są najpierwszym celem;
Dość być wyższym, by zostać jej nieprzyjacielem,
Wszystko co godne chwały, potępia i gani,
Czerni potwarzą, ostrem żądłem rani,
Samą nawet niewinność ... długoby wrzeszczała,
Lecz czując, że już pięknie, zamilknąć musiała.
Tu gdy każdy ile chciał, tyle perorował,
Mrugnął Jowisz, a woźny na ustęp zawołał.
Dość długo Prezes Bogów, i inni sędziowie
Na ważnej dla stron wszystkich siedzieli namowie;
Nakoniec, otworzono Olimpu podwoje:
Gdy ciekawych słuchaczów weisnęły się roje,
Wraz Pisarz Trybunalski, syn pięknej Latony,
Taki dekret przeczytał: — „Wysłuchawszy strony,
„Ich skargi, ich wzajemnych zażaleń powody,
„Akcesorya, Repliki, i wszystkie dowody,
„Oświadcza Ojciec Bogów, wszystkim tu przytomnym,
„Niebu, ziemi, dzisiejszym, i wiekom potomnym,
„Iż zesłał na świat poczet passyi dzielnych,
„By były bodźcem dla ludzi śmiertelnych,
„Zesłał je na ich dobro: jeżeli z nich które,
„Nad rozsądkiem człowieka nie raz biorą górę,
„Nie Jowisza w tem winą, w czynach swych niemyłny,
„Dbały o dobro ludzi, ziemiankom przychylny,
„Chciał, by w żegludze życia, znanej przeszkód likiem,
„Passye były żaglami, a rozum sternikiem,
„One do świetnych czynów wiodącą pochodnią,
„Dobrze użyte cnotą, źle użyte zbrodnią. —

„Względem pierwszeństwa próżną byłaby ustawa,
 „Dla krnąbrnych co żadnego nie uznają prawa.
 „Przyznaż je Olimp komu; daremne przyznanie,
 „Zaraz wyrwie się próżność, i najwyżej stanie.
 „Gdy więc trudno powiedzieć, która pierwszą będzie,
 „Wskazmy najohydniejszą z passyi, w każdym względzie,
 „Zazdrość; gdyż każda inna, acz drugim szkodliwa,
 „Przecież sama jakiejściś rokoszy używa.
 „Wojownik gdy zwycięża, gdy po bojach twardych,
 „Ogląda u nóg swoich nieprzyjaciół hardych,
 „Widzi na pysznych basztach swe orły zatknięte
 „Słyszy jak tłum radosny, jak kapłany święte,
 „Wznoszą hymny za niego, . . . aa wojnę nieprawą
 „Na płacz ludu niebaczy, i cieszy się sławą;
 „Skąpiec wyschły od głodu z obdartemi szaty,
 „Szczęśliwy, gdy swych trzosów pomnaża dukaty;
 „Lubieżni co ich piękność, i wdzięki unoszą,
 „Niewidząc jak znikomą, poją się rokoszą;
 „Któżby rzekł, zemsta nawet, z sztyletem skrwawionym,
 „Z oblakanemi oczy, z włosiem najeżonym,
 „Drżąca, gdy w nienawisne zwłoki się wpatruje,
 „W zapamiętałem sercu, wściekłą radość czuje:
 „Patrzaj łasy obżerca, jak ślinkę połyka,
 „Kiedy w głębi pasztetu truśle napotyka;
 „Gracz co go rozpacz szarpie, nadzieja kołysze,
 „Jak szczęśliwy, gdy piątka w kwindeczu dopisze:
 „Słowem wszystkie passye, czy słabe, czy silne,
 „Mają swoje rokosze, chociaż zawsze mylne.
 „Ale ty! (tu Apollo pełen zawziętości,
 Obrócił mowę swoją do brzydkiej zazdrości:)

„Mała wybladła Jędzo, wszystko złość twą budzi,
„Karmić się tylko umiesz nieszczęściami ludzi;
„Každy Laur, który Cnota, Zasługa odbiera,
„Jest trucizną, co twoje wewnętrzności pożera:
„W każdej passyi, coś mozem dobrego znachodzić
„Ty bez zysku dla siebie, lubisz innym szkodzić,
„Ty zionąc jady twoje w cne zawody męztwa,
„Umiesz wydzierać wodzom już pewne zwycięztwa,
„Lube szczęście kochanków w męczarnie obracać,
„Burzyć obrady ludów, i państwa wywracać.
„Prześladowniczko cnoty, otwarcie lub skrycie
„Niedość że wielkich ludzi, trapisz przez ich życie;
„Otwierasz grób ich zimny i znikłe na poły
„Mięszasz sztyletem twoim martwe ich popioły:
„Nie każ mieszkania Bogów, obrzydła i wściekła,
„Wracaj z kąd masz początek, wracaj w głębie piekła,
„A że pięknością Cnoty, nigdyś nieujętą
„Bądź na zawsze ohydna, na zawsze przeklętą.

10. Maja 1816. w Wilanowie.

POWIEŚĆ III.

Z Włoskiego Dżan Batista Roberti.

Poselstwo Osłów do Jowisza.

Na pysznych progach oparte
 Złote Jowisza podwoje,
 Stoją na ościesz otwarte,
 Tym, co pragną modły swoje
 Do ojca Bogów zanosić:
 Czy książęta, czy rycerze,
 Choćby i najlichsze zwierze
 O łaskę może go prosić.

Milczy ciemna uprzedzenie
 W oczach Jowisza: bez żadnej oznaki,
 Równem u niego jest każde stworzenie,
 Bo wszystkich zawód jednaki,
 Cierpieć, podnieść się, albo poniewierać,
 Pożyć dnia kilka, a potem umierać!
 Temi prawidły gdy się Olimp rządził,
 Zniósł Etykietę i przepych wytworny,
 Śmiały się Niebios Marszałek nadworny,
 Gdyby od osła koń się lepszym sądził,
 Gdyby kto szczęście chciał na tem pokładać,
 Żeby iść pierwej, albo wyżej siadać.
 Marszałkiem dworu był w ten czas Merkury,
 Młody, wybornej natury,

Pusty, dowcipny, nie znał co mozoły,

Zawsze wesoły :

Nie raz on wolnej używając pory,

Nim przyszły deputacye, albo oratory,

Siedzący w przedpokoju spokojny, bezpieczny,

Pił sobie Nektar przedwieczny.

Raz kiedy czary wychylał już szczątek,

Wchodzi po schodach, dotąd niewidziane

Poselstwo cudnie dobrane,

Ośłów, Oślic i Oślatek.

Wraz drzwi Marszałek nadworny otwiera,

Credenciales przeziera,

Z zwykłym obrządkiem i z niskim ukłonem,

Ryczące bestye przed Jowisza tronem

Stawia: tu najpierwszy z Posłów,

Wymową innych celujący ośłów,

Z uszy na dół spuszczonemi,

Zaczyna mowę, słowy łagodnemi :

„Królu ośłów i ludzi! zbytek w naszej biedzie,

„Do tronu twego nas wiedzie :

„Człek co z twej woli miał być naszym panem,

„Stał się nieznośnym tyranem;

„Niedość, że srogie dzwigający brzemie,

„Idziemy głowe nachyliwszy w ziemię,

„Przenosim juki bez liku,

„On chce żebyśmy jak panicz w koczuku,

„O ciężarach zapomnieli,

„I w cwał jak gdyby szaleńce lecieli,

„Gdy biedz nie możemy, na upór to składa,

„I boki kijem okłada,

„Okrutne nosim na grzbiecie już pręgi:

„Jeżeli Monarchą jesteś litościwym,

„Jeżeli to w mocy jest twojej potęgi,

„Rozkasz by dla nas człek był sprawiedliwym,

„Powiedz te słowo, może złość uśmierzy,

„Niech lichy weźmie, kto osła uderzy.“ —

„Najmilsze osły, — pierwszy w Bogów rzędzie,

Odpowie Jowisz głośno i powoli:

„Ten wasz niepospiech, człek zawsze brać będzie

„Nie za brak siły, lecz raczej złej woli,

„A gdy tak wierzyć jest mu pożytecznie,

„Kropić was będzie batogami wiecznie;

„Są rzeczy niepodobne nawet mnie samemu.

„Losów przedwiecznych ustawą,

„Skoro kij wpadnie w ręce człękowi jakiemu.

„Zaraz przez ciężkości prawo,

„Sam przez się na grzbiet wasz spada:

„Wiem ja, że to wielka biada;

„Ale jest popęd, pewna jakaś waga,

„Pewna harmonia na świecie,

„Która koniecznie wymaga,

„Żebyście brali batogiem po grzbiecie.

„Jednakże sprawię odmiany niektóre,

„Na dowód, że mi ród osłów jest miły,

„O to tak twardą uczynię wam skórę,

„Że razem z sobą połączone siły,

„Ręki i kija, nie wam nie dokuczą,

„Nieczułość waszym stanie się udziałem:

„Nie jest to zyskiem już małym,

„Wiercie mi liczne przykłady nas uczą.

„Rozważcie jakie w tem się szczęście mieści,
„Brać kijem w skórę i nie czuć boleści.“—

Tu Jowisz skończył, posłowie weseli,

Z radości strasznie ryknęli;

Na ten głoszek ulubiony,

Co Morfeusza samego ocucił,

Zemdlała Wenus, Kupid przełęczniony,

Z strachu na wznak się wywrócił,

Niebaczne osły na te przełęcznienia,

Szerzyły hymnów swych pienia,

Rycząc: — „Jowiszu, ty panie nad pany,

„Tak bardzo mądry, że niezrozumiany,

„Zawsze potężny i zawsze szczęśliwy,

„A co większa litościwy,

„Jaki twój dowcip, jak rozum głęboki,

„Głosić tak mądre wyroki.“—

12. Listopada 1811.

POWIEŚĆ IV.

Oryginalna.

Duma o Niedźwiedziu*).

Dosyć długo wieszczków pienia
 Kochania ludzkie głosiły,
 Jak gdyby nieme stworzenia
 Równie tkliwemi nie były.
 Mnie dziś nucić Muza wiedzie,
 Jak się kochają niedźwiedzie.

Gdy opowiem ich udatność,
 Ich grzeczne łabe zoloty,
 W każdym kroku delikatność,
 W rokoszach słodkie pieszczoty,
 W nieszczęściu ciężkie rozpaczę,
 Nie jedna panna zapłaczę.

W głębi lasu, między buki,
 Piękny się niedźwiedź urodził,
 Posiadał różne nauki,
 I w Smorgoniach **) do szkół chodził,

*) Tragiczną tę historią słyszałem wraz z wielą innemi opowiadaną przez osobę wiary godną, mieszkającą w sąsiedztwie Smorgoni.

**) Smorgoni, kwitnąca niegdyś Akademia dla edukacyi szlacheckiej młodzieży niedźwiedziej, z nieszczęściami czasu, dziś wielce podupadła.

Ślicznie Almanda tańcował,
Mowią nawet, że walcował.

Pod tym lasem blisko Mińska,
Kędy nasz niedźwiedź przebywał,
Mieszkała Panna Buzińska,
I on ją często widywał,
Żywo tknięty jej wdziękami,
Rozkochał się passyami.

W schyłku dnia pod chwilę szarą,
Płaszcz hiszpański na się rzucił,
I pod jej oknem z gitarą,
Nieraz tkliwe dumy nucił,
Ona w uniesieniach cała,
I wzdychała i płakała.

Czegóż nie zdoła na świecie,
Żywa chęci podobania,
Niedźwiedź pannę w samym kwiecie,
Tak ujął przez swe starania,
Iż raczyła, bez hałasu,
Przez okno uciec do lasu.

Weszli w dąb spruchły i stary,
I tam się niedźwiedź ożenił;
Niebyło szczęśliwszej pary,
Mąż się w kochanka zamienił,
Wieczne śmiechy, całowania,
I piękną łapą ściskania.

Cały swą żoną zajęty,
Lub jagody niósł jej wczesne,
Lub plastr miodu z ulu wzięty,
Śliwki, gruszki, jabłka leśne:
Szczęśliwi zimą i latem,
Puszcza dla nich była światem.

Żona za dary tak liczne,
Gwoli w spólnemu życzeniu,
Powiła córeczkę śliczną,
A ojciec w małym stworzeniu
Rozrzewnion widział zdaleka
Pół niedźwiedzia, a pół człeka.

Te roskosze, te pieszczoty
Niestety! niedługo trwały,
Przyszły kłótnie i zgryzoty,
I ród zwierzęcy niestały.
Niedźwiedź co był tak miłośnym,
Stał się brutalem nieznosnym.

Smutny jej wieczór i ranek:
Czy wszedł w jamę niedźwiedź młody,
Mąż mieniąc, że to kochanek,
Bił, piękne drapał jagody:
Czuła, łzami rosząc łono,
Co to być bestyi żoną.

Co gniew i zazdrość burzliwa,
Wymyślić mogą cierpienia,

To znosiła nieszczęśliwa :
Wreszcie nie widząc ulżenia,
Umyśliła las porzucić,
I do ludzi nazad wrócić.

Raz gdy mąż poszedł daleko,
Ona spieszo bór przebiega,
I w wieczór stając nad rzeką,
We środku czołno postrzega,
W niem z niewodem dwa rybaki,
Łowią karpie i szczupaki.

„Rybaki moje kochane,
Woła, weźcie mię do łodzi,
Mieście litość na stroskanę,
A Bóg wam za to nagrodzi.“ —
Ci widząc kobietę hożą,
Na drugi ją brzeg przewożą.

Już byli mety swej blisko,
Gdy widzą z dziwnem przejęciem,
Osobliwsze widowisko,
Niedźwiedzia z małym dziecięciem;
Rykiem bór cały przeraża,
Buzińska na to niezważa.

Chcąc zmiękczyć żonę zdradziecką,
I wnętrzości matki wzruszyć,
Pokazuje lube dziecko ;
Lecz próżno śmiał sobie tuszyć,

Ona pomniąc na brutala,
Coraz się bardziej oddala.

Zwierz widząc, że żal i krzyki
Nie u okrutnej nie znaczą,
Rzucił dziecko w pośród rzyki;
Sam zdjęty czarną rozpaczą,
By się i z życiem rozdzielił,
Ryknął, i w łeb sobie strzelił.

30. Listopada 1807.



POWIEŚĆ V.

*Oryginalna.***M i ł o ś ć Z a b a w n a.**

Ta której grzeczność i słodycz i wdzięki,

Zawiera pokój maleńki,

Pragnąc zachęcić Poetów ochotę,

Wyborny obiad daje im w sobotę,

Mówiąc, ten jeden zakładam warunek,

Niech każdy jakiś miłości gatunek

Wziąwszy, stara się powieść wygotować,

Niedosyć zjadać, należy pracować.

Posłuszni starzy i młodzi uczeni,

Każdy ze swoim amorkiem w kieszeni,

Każdy, ze stołu kiedy zbierają wety,

Swego Kupida wystawia zalety.

Co więcej sama nawet gospodyni,

Co honory obiadu, i dowcipu czyni,

Czyta powieść swej roboty:

Wszystkie amorków wyliczając psoty,

Mówi, zbyt ciężko by którem był szczery,

Dowodzi, że jak dwa i dwa są cztery,

Iż kiedy każdy zwiedzie, lub osławi,

Ten z nich najlepszy, co dowcipnie bawi.

Powieść ta była tak świeża, tak miła,

Tak o swej prawdzie przekonywającą,

Że się wielu nawróciło.

Alić gromadę tem się unoszącą,

Nowy widok zastanawia,

I wszystkich w wielkie zadziwienie wprawia:

Wchodzi młodzieniec przedziwnej urody,

Z lubem uśmiechem, z spojrzeniem przyjemnem,

Letki rumieniec krasił mu jagody,

A włos na czele wił się kręgiem ciemnym,

Postać, ruszenie, słowem układ cały,

Ni zbyt trwożliwy, ani na zbyt śmiały;

Nie więcej mówi jak mowić mależy,

Trafny, wesoly, słowem wzór młodzieży!

Czy to zdarzenie jakie opowiada,

Każda dzień cały słuchaćby go rada,

Wesoła, gdy się śmieje, kiedy smutny wzdycha,

I nie wie kiedy na twarz łza jej pada cicha.

Niedość, że w rozmowach miły,

Świetne go w posiedzeniach talenta zdobiły:

Czyli białych klawiszów Temira dotyka,

I zacznie nócić głosem co duszę przenika,

Damis łączy swe pienia z tak wdzięcznym wyrazem

Iż się zdaje, że z taktem serca biją razem:

Pod jego letkim pędzlem jasnych farb użycie,

Płótnu lub martwej karcie nadawało życie;

Kiedy tańczył, niemalbyś, że Zefir skrzydlaty

Unosi się między kwiaty.

Słowem, że w świecie dawnym i dzisiejszym,

Bardzo przyjemnym i najzabawniejszym,

Damis uznany, wszędzie go szukano,

Zapraszano, wyrywano,

Faworyt całej Warszawy,
I kędy go niebyło, niebyło zabawy.
Jeszcze słowo, (choć może powieścią mą znudzę)
Damis pisywał wiersze i własne i cudze;
Lecz gdy tak bawił, ci co siedząc bokiem,
Przenikłem wszystko uważali okiem,
Postrzegli, że Delfina coś jest zamyślona,
Że się częściej wznosiła wypukłość jej łona,
Że już świata nie lubi, że o nie nie bada,
I samotność z Damisem nad wszystko przekłada;
Nudzi ją niecierpliwie, ciżba trzpiotów płocha,
Słowem, Delfina już kocha;
A kochając wyznaje prawdę niepojętą,
Każdemu co się zapyta,
Że dowcip, że wesołość są tylko ponętą,
Na którą miłość się chwyta.

1. Grudnia 1808.

P O W I E Ś C I VI.

*Wiersz naśladowany z Hiszpańskiego
Poety Quevedo.*

Moje przeznaczenie.

Kiedy los z miną srogą i ponurą
Chciał kreślić dzieje przeznaczenia mego,
Tak atramentem przeppełnił swe pióro,
Iż pisząc zrobił żyda potężnego;
I to przyczyną w całym życiu było
Że mi się nigdy w niczem nieszcześciło:
Bo chociaż skromne były me zapędy,
Wolałem prace niżeli urzędy;
Choć na wielkiego nie piałem się pana,
Anim pożałował klucza Szambelana,
Przystając na tem, bym zimna, ni głodu
Nie znał, i ujrzał byt mego Narodu:
W najmniejszej rzeczy znalazłem przeszkody.
Dosyć, kiedy wczas pięknej pogody
Wyszłem bez płaszcza, natychmiast obłoki,
Czernią się, deszczu zlewają potoki,
Moknę do nitki: niechże mróz trzeszczący
Chwyci, ja biedny zębami dzwoniący
Idę w kierei gdzie wabi przechadzka,
Natychmiast słońce wypada z nienacka,
Tak strasznie piecze, że się pocąc, duszę,
Zrzucać kiereję i powracać muszę.

Do innych idą bilety proszące
Na obiad, uczyty, herbaty tańczące,
Do mnie nieprzyjdą chyba zapraszania
Na pogrzeb, albo do składki dawania;
Lub też na sessyą kędy dla zabawy
Są referaty, lecz żadnej potrawy.
W nocy, straż puszcza łotry i szalbierze,
Mnie pewnie złapie i do kozy bierze;
Jeżli dachówka ma kogo ugodzić,
Czeka póki ja tam będę przechodzić;
Skoro bezdzienny zapisze majątek,
Wraz żona dwoje rodzi mu bliźniętek;
Do mnie gawenda wiąże się uparty,
Nie siądę do gry, bym nie przegrał w karty.
Dla mnie jednego aptekarz się myli
I często bardzo w ostatecznej chwili,
Szle mi wyjmując z głębi swych marmurów,
Na miejsce chin, truciznę dla szczurów;
W podróży traktem puszczam się bezdróżnym,
Kocha drug luby, póki nie jest możliwym,
Skoro wywyższon, już staję się sprzecznym!
Sam nieprzyjaciół jest tylko statecznym:
Wolny od pychy i próżności dymów,
Nienabijam się z czytaniem mych rymów,
Lecz kiedy każą, bym czytał koniecznie
I z dobrą miną zaczynam bezpiecznie,
Jeszcze dziesięciu wierszy nie przeczytał,
Wstaje gospodarz, by gości powitał:
Drzwiów nie przestają frotery otwierać,
Ten przychodzi by kadzić, ów zmiatać, ów ścierać,

A gdy mnóstwo tych przeszkód zebranych weseli,
Zapominają wszyscy że słuchać pragneli.
Wypiwszy wodę z cukrem wizytę mą skracam
I klapiąc się po błocię do domu powracam.
Takie to przeciwności bez rady sposobu
Ścigać mię z urodzenia będą aż do grobu;
Bo pewien, że gdy umrę, kodexu czereda,
Skluci się o formalność i pogrzebać nieda.

21. Czerwca 1815.



P O W I E Ś Ć VII.

Oryginalna.

P o w ó d ź.

Byстрыm lotem trąciwszy o karpackie góry,
 Pękły dżdżyste obłoki a rozdarte chmury;
 Lunęły powódź straszną i w raptownym pędzie,
 Rozlały się szeroko, rozlały się wszędzie.
 Zrywając wartkim nurtem z ciosu rznięte szranki,
 Gmachy, świątynie Bogów i kmieciów lepianki,
 W tenczas ja brzegów Wisły mieszkający blisko,
 Szedłem oglądać srogie, pyszne widowisko.
 Obok mnie była piękność w samym kwiecie wiosny,
 Przy niej młodzieniec hoży, dzielny i miłosny,
 Oczy ich były z litością zwrócone
 Na szczątki nurtem niesione,
 Na łodzie, młyny rozbite,
 Na lepianki słomą kryte,
 Porwane z chudoba małą,
 I gdzie jeszcze w popiołach ognisko jaśniało.
 W tem oczy me zachwycił nad wszystkie widoki
 Pień ogromny, pień szeroki
 Co go prędzej niż żagle, niżli szparkie wiosła,
 Powódź ta niosła:
 Już kora na nim wiekami obrana,
 I siwa tylko bielila się piana;

Wszystkich przedmioty inne zajmowały,
Jam tylko patrzył na pień ów spruchniały,
Co go bystry wart porywa:
Jakiż się pociąg w tem drzewie ukrywa?
Pytam sam siebie, jaki urok ciemny?
Czy nie wiesz; zda się mówić głos tajemny,
Wielka jest wspólność postacią i dobą,
Między tem drzewem a tobą:
Jak te nurty nieścignione
Niosą to drzewo w morza już zbliżone,
Gdzie je pochłona na wieki,
Tak bieg lat twoich kresu niedaleki,
Im mniej mety odlegleszym,
Tem w ostatniej pochyłości,
Coraz się lotem przybliża bystrzejszym
Do oceanu wieczności.

P O W I E Ś Ć VIII.

*Naśladowanie z Angielskiego.***Zakonnik.**

Z schylonem czołem, z paciorkami w dłoni,
Mówiąc różaniec już w wieczornej dobie,
Spotkał zakonnik wśród ganków ustroni,

Młodą dziewczynę w żałobie.

„Powiedz mi ojeze, pyta się dziewczyna,
Czyś w twych przechadzkach z poranka,
W kościele, lub gdzie ten las się zaczyna,

Nie spotkał mego kochanka?“—

„Jeżlim go spotkał, lubo moje dziecię,
Odpowie kapłan pobożny,

„Ja prócz klasztoru nie nie znam na świecie,

Jak ten tu cmentarz narożny.“—

„Łatwo go poznać po tym wzroście szczytnym
Po włosach co mu w pierścienie spadają,
Po długich rzęsach co oczom błękitnym,

Lubej słodyczy dodają.“—

„Już on nie żyje o panno strapiona,
Rzekł kapłan cichemi słowy,

„Na głowie jego leży darń zielona,

A u nóg kamień polowy.

„W tych murach kędy miłosierdzia syny,
Dają cierpiącym przytułek i leki,

Długo na srogość jakiejściś dziewczyny,

Skarząc się, usnął na wieki.

„Na ciężkich marach, sześć smutnej młodzieży,

Wyniosłszy trumnę, w tę ziemię włożyło

I tę mogiłę gdzie nieszczęsny leży,

Rzewnemi łzami zrosiło.“ —

„Już więc nie żyjesz, coś mi był tak drogim,

Już cię twa luba więcej nie zobaczy,

Czemuż me serce zdjęte żalem srogim,

Nie zkamienieje z rozpacz.“ —

„Niepłacz o panno, ach niepłacz tak rzewnem,

Niebo twą boleść osłodzi,

Wstrzymaj te łkania, zaręczam cię pewnie,

Inny twą stratę nagrodzi.“ —

„Ach nie mów tego, bądź mi litościwym,

Najpiękniejszemu młodzieńca straciła,

On był tak dobrym i tak dla mnie tklwym,

A jam tak srogą mu była.“ —

„Przestań narzekać na niezmiennie losy,

Lzy cię twoje niepocieszą,

Obfite krople choć najświeższej rosy,

Zeschłych fijałków nie wskrzeszą.

„Jak sen skrzydlaty, radość ulatuje,

Będzież nas smutku zawsze tłoczyć brzemię,

Kto się raz w niebie z świętami znajduje,

Już niepowraca na ziemię.“ —

„On umarł dla mnie, jam w ostatniej dobie,

Nie zamknęła mu powieki,

On był bezemnie złożony w tym grobie,

By w nim spoczywał na wieki.“ —

„Przestań, nie zlewaj jagod łzami twemi,
Mężczyzni w chuciach swych sprzeczni,
Stopą na morzu a drugą na ziemi,

Nigdy w niezem niestateczni.

Gdybyś kochała, on złudzon nowością,

Możeby ciebie porzucił,

I bardziej jeszcze swoją niestałością,

Niżeli śmiercią zasmucił.“ —

„Ach niemów tego ze łzami zaklinam;

Był on zawsze dla mnie wiernym;

Dziś jego wszystkie enoty przypominam,

Tak jest, był dobrym, był wiernym:

Tys dla mnie umarł, najdroższy z młodzieży,

Pocóż się dręczyć już zwłoką.

Zegnam cię matko, w pielgrzymia odzieży,

Pójdę na puszcze głęboką.

Lecz wprzód nim pójdę, albo nieszczęśliwa,

Wieczny spoczynek odzyskam,

Niech darń co mego kachanka pokrywa,

Raz jeszcze jeden uścikam.“ —

„Zostań w przysionku, kapłan upomina,

Patrz jaki wieher, od północy wieje,

Jak ten płot ścierniów i jodły ugina,

Jaki deszcz opropy leje.“ —

„Puść mię, ten łoskot srogiej nawałnicy,

Ta czarna chmura co nieszczęściem wróży,

Ten wiatr co tłucze okna tej świątnicy,

Nie wstrzyma mojej podróży.“ —

Tu kapłan woła: — „O piękna dziewico,

Jak lilia łzami, skropiona poranka,

Pod tą odzieżą, pod tą włosiennicą,
 Poznawaj twego kochanka.
 „Twoje to dla mnie obejście okrutne,
 Skryć się kazało gdzie się rozpacz kryje
 Czekać aż zegar kończąc życie smutne,
 Godzinę śmierci wybije.
 „Jeszcze nie święcon . . , gdy wrócona strata,
 Do ciebie jednej wybierać,
 Czyli wraz z tobą mam wrócić do świata,
 Czy w tych tu murach umierać.“ —
 „Wracaj! o Boże stokroć bądź wielbionym,
 Strapione serce jeszcześ rozweselił,
 O mój ty luby potoś mi wróconym,
 Byś się już zemną niedzielł.“ —



POWIEŚĆ XX.

Oryginalna.

Cień Eweliny.

Było to blisko tej szarej godziny,
Gdzie noc z porankiem się styka,
Kiedy cień blady, pięknej Eweliny
Stanął przy łożu Henryka.

Twarz jej posępna, jak ów dzień marcowy
Gdy go gęsta mgła zasłoni,
Śmiertelną odzież schodzącą od głowy,
Trzymała w zeschłej już dłoni.

Taż będzie postać, najpiękniejszej twarzy,
Gdy ją ugodzi ciężkie śmierci ramie;
Ta będzie odzież potężnych mocarzy,
Gdy ich berła, śmierć połamie.

Lice jej nigdyś jak kwiat co pod cieniem,
Płoniąc się czystą łzę jutrzeńki pije,
Usta, jak róża, gdy słońca promieniem,
Pierwszy swój pączek rozwije.

Lecz miłość jak ów w kwiecie robak zjadły,
Stoczyła wdzięki w samej życia wiosnie,

Zbladła ta róża, liście jej opadły,
Trawa na grobie jej rośnie.

„Obudź się, wola, kochanka cię wzywa,
Przyszła do ciebie z umarłych mieszkania,
Obudź się, krótka godzina upływa,
Już jest blisko do świtania.

„Te to są straszne chwile pozwolone,
Gdzie z swoich grobów umarli powstają
Kiedy ich cienie w życiu obrażone,
Niewiernych swemi skargami ścigają.

„Przypomnij sobie twe mowy zwodnicze,
Twoje przysięgi, twoje zaręczenia;
Powróć mi nazad me śluby dziewicze,
Wroć światło niebios promienia.

„Czemuś me serce miłością zapalał,
A potem szczęścia, pokoju, pozbawił,
Czemuś piękność oczu mych wychwalał,
A potem we łzach te oczy zostawił.

„Mówiłeś żem ja świeżą jak malina,
Żem wdzięczną jak róża była;
Czemużem prosta, nieszczęsna dziewczyna,
Pochlebstwom twoim wierzyła.

„Niestety! jużem niepiękną w tej dobie,
Szkarłatne niegdyś moje usta zbladły,

Czarne me oczy zgasły w ciemnem grobie,
Jak liście z kwiatu, wdzięki me opadły.

„Ciało me robak toczyć nieprzestanie
Śmiertelne płótno kryje mię do koła,
Zimne i długie jest umarłych spanie,
Aż w dniu ostatnim trąba ich zawoła.

„Słuchaj, już kogut głośno się odzywa
Pojdź; jasna zorza już wschodzi na niebie,
Zobacz jak w ziemi głęboko spoczywa
Ta co umarła dla ciebie.“ —

Skowronek w górze już wesoło nucił,
Słońce błyszczało na świątyni wieży,
Gdy drżący Henryk łoże swe porzucił,
I spieszył kędy Ewelina leży.

Po prawej ręce małego kościoła,
Zwłoki jej skromna mogiła zawiera,
Potrzykroć Henryk Eweliny woła,
Woła ze łzami, pada i umiera.

Po lewej ręce, przy tymże kościele,
Pomni na cnoty, niepamiętni winy,
Ciało młodzieńca wierni przyjaciele,
Pokryli trochą darniny.

Śnieg je okrywał, lecz gdy znikły szrony
I przysła wiosna po zimie zbyt długiej;

Gdzie dwie mogiły ujrzał lud zdziwiony
Na jednej różę, cierni ostry na drugiej.

Rosły te krzewy ciniąc ściany całe,
A gdy już nad szczyt kościoła się wzbiliły,
Kwiaty swe, liście i gałązki małe,
W jednym łęku połączyły.



P O W I E Ś Ć X.

*Oryginalna.***Czas i skargi na niego.**

Czas co nigdy nie zaczął, i nigdy nie skończy,
Z roztoczonymi skrzydły pędził lot swój rączy
Szlakiem pól lazurowych; za jego polotem,
Nie raz natura srogim trzęsła się łoskotem;
Dla niego w mgnieniu oka, nam przez wieki długie,
Jedne Państwa ginęły, powstawały drugie,
W dawnych krajach ruiny, w nowych pyszne grody,
I marszczące się świeże nie dawno jagody.
Raz gdy leciał (jam temu przyświadczyć gotowy)
Górą wesołych smugów i ciemnej dąbrowy,
Nad brzegiem chłodnych źrójów pod buków zasłoną,
Postrzegł nisko pod sobą pięknych kobiet grono:
Z poblížszych mieszkań tam się zeszły dla zabawy;
Te w tańcach nóżką miękkie zmiatały murawy,
Rozpuszczone ich wolno szaty tkane złotem,
Podnosiły się z każdym zefirów polotem;
Te białą ręką dzieląc strony na pól głośnie,
Z jękiem gęśli łączyli nucenia miłosne;
Inne się podawały rozmowom i śmiechom. —
Przypatrując się z góry tym lubym uciechom,
Zachwycony przez poczet wdzięków tak dobrany,
Czas orlim na dół cisnął się pędem,

Skryty za buków gęstoliścich rzędem
 Patrzył i słuchał długo nie widziany.

Skoro czas się zatrzymał, wesołość ustała:

„Ach! jak czas długi,“ — Kloe zawoła niedbala. —
 „Przecie że dziś pogoda, wczoraj o południu
 „Choć w Maju, czas był zimny, jak w miesiącu Grudniu.
 „Nie wiem co z sobą robić, rzeknie Filis tkliwa,
 „Czas ciężarem jest dla mnie; zawsze nieszczęśliwa,
 „Dziś przecie na zabawach w pośród tej doliny,
 „Strawiłam dość przyjemnie małe pół gidziny;
 „Teraz znowu się nudzę, ach! te krotofile
 „Przez jak nieznośne przyjdzie opłacić mi chwile!
 „Ziewając o dwunastej wstałam z łóżka wczora,
 „Zdrowa zupełnie, chociaż pono trochę chora,
 „Od krosienek powoli wlekąc się do wstażek,
 „Od tych do mego pieska, od pieska do książek.
 „Lata miały niżli do obiadu dano,
 „Dwa wieki nudną sztukę na teatrze grano,
 „Wyjechałam w połowie . . . z tamtąd na wieczerzy
 „Gdzie niby grzeczność sama, przyjaciele szczerzy,
 „Gdzie w powszechnej rozmowie dwie szepczące pary,
 „Gdzie nudni rymotwórcy, ekliwy brzęk gitary,
 „Poziewając chodziłam od kąta do kąta;
 „Wracam sadząc że późno . . . dopiero dziesiąta!
 „Tak się czas ten przekłety bez litości wlecze.“ —
 Ja niewiem co z nim robić, pusty Damon rzecze:
 „Jeżdżę z domu do domu od samego ranka,
 „Albo latam po polach wsiadłszy na kasztanka,
 „Przy obiedzie kielichy spełniam wina mnogie,
 „Jednak ni uciec przed nim, ni zapić go mogę.“ —

Kiedy tak czas szarpali niesłuszną obmową,
Zoe siedząc nad źródłem z nachyloną głową,
„Ach! jak szybko zawoła czas ten ulatuje,
„Wczoraj byłam jak róża, dziś marszczki znajduję;
„Piorunem zniszczcie starca sprawiedliwe nieba!
„Lezie gdzieby mógł lecieć, leci gdzie nie trzeba“.—

Rozśmiał się starzec na te skargi osobliwe,
Śmiechem zdradził ukrycie, a Nimfy złośliwe
Widząc go w swojej mocy, niektóre wesoło,
Inne z miną gniewliwą otoczyły wkoło;
Każda łaje: ta skrzydła ujęła rękami,
Ta do drzewa przywiązać zamysła wstęgami,
I pękiem róż oćwiczyć. — „Jak was ulagodzić?
„Wola starzec, — jak sprzecznem życzeniom dogodzić?
„Dla jednych lecę prędko, drugim opieszale;
„Na siebie samych wasze wywierajcie żale.
„Z przepisanego trybu ja się nie oddalam,
„I używać mię jak chce każdemu pozwalam;
„Nie leniwym dla tego co pracuje człeka,
„Próżniak tylko i w zbytkach żyjący narzeka.
„Puśćcie mię, czyż możecie być tak uprzykrzone?“ —
Ale one go szarpią wkoło uczepione,
Męczą, chodzą w ~~zapasy~~ choć w nierównej sile,
Kłócąc się z czasem, krótkie trwonią życia chwile.
Aż starzec przełękniiony późną dnia już doba,
Rozwinął lotne skrzydła i porwał je z sobą.

III.

D U M A.

Oryginalna.

Zamek Jazłowiecki.

I.

Minęła burza, deszcz gęsty ustawał,
Jak słaby odgłos kończącej się bitwy,
Grzmot się mdlejącym hukiem słyszeć dawał,
Ciemne obłoki, lotnemi gonitwy
Znikły, a słońca wieczornego siły,
Ognistym ponsem horyzont okryły.

II.

Właściem się zbliżał pod zamek wyniosły,
Na szczycie przykrej skały postawiony,
Gęste go bluszcze, w około obrosły,
Strzaskane baszty, i mur wyszczerbiony.
Mostu i bramy łańcuchów żelaznych
Już tylko szczątki w znakach niewyraźnych.

III.

Ileż lat, ileż wieków niezliczonych
Nad temi gmachy szparko uleciało,
Ileż nad niemi przeszło burz szalonych,
Ileż się krwawych tu walek staczało.
Niemasz mieszkańca w tych gruzach odbiegłych,
Niem a i prochów rycerzy poległych.

IV.

Kiedym tak dumał z żalosnem przejęciem,
Postrzegłem starca sędziwej urody,
Kłęczał na głazie, wietrzyk lekkiem wzdęciem,
Rędziory siwej podnosił mu brody,
W ręku paciorki, z czołem nachylonem
Modlił się Bogu głosem przytłumionym.

V.

Gdy wstał, ja rzekłem: Ojczy mój sędziwy!
Jakież w tych miejscach okropne zburzenie!
On na to, długie przerwawszy milczenie: —
„Wszystko to sprawił, gniew Boga straszliwy.
Powiemé, com słyszał od mojego dziada,
Co dziad mój słyszał od swego pradziada.

VI.

„Nie jeden temu wiek pewnie ominął,
Jak w tym tu zamku, gdzie te sterczą ściany,
Za Władysława co pod Warną zginął,
Żył Jazłowiecki rycerz zawołany;
Nikt mu niesprostął, z bułatem skrwawionem,
Pędził Tatary, za Dniestrem i Donem.

VII.

„Ileż kroć w tych tu dziedzińcach, podwojach,
I trąb i kotłów odgłos się rozlegał,
Gdy w świetnych hełmach, i złocistych zbrojach,
Tłum dziarskiej młodzi, przez szranki przebiegał;

A tocząc koniem z zwinnymi obroty,
O twarde tarcze ostre kruszył groty.

VIII.

„Bodajby nigdy Jazłowiecki śmiały
Nieznał był innych gonitw i zabawy;
Lecz młody, dumny, rozwieżły, zuchwały
Bozkie i ludzkie pogwałcił ustawy,
Z zapędem ślepym i niepowściągniętym,
Rozpuścił wodze swym chuciom szalonym.

IX.

„Nigdy tu słodkie niepostaly cisze,
Brzmiała muzyka po ogromnej sali,
Rozwzięli rokosz jego towarzysze,
Ogromne wina puhary spełniali,
W wieczor tysięczne światła gorejące
I znów biesiady, i bluźnierstw tysiące.

X.

„Nieraz wśród płaczu, na matki swej łonie,
Porwane były dziewice jej hoże,
Nieraz mąż ginie w żony swej obronie,
I ginąc widzi splamione swe łoża:
Kędy najezdnik obrócił swe kroki
Siał wszędy postrach, żal wzbudzał głęboki.

XI.

„Jazłowiec wtenczas był grodem zamożnym,
Lud go Ormiański ozdobił wspaniałe,

Lecz ciśnion męża obejściem bezbożnem,
Niósł do Biskupa ciężkie swoje żale.
Zapłakał pasterz nad ludem znękanym,
Bo był swej trzody, ojcem i kapłanem.

XII.

„Otoczon świetnem duchowieństwa gronem,
Idzie na zamek i przed władcą stawa,
Wyrzuca głosem zniewagą wzruszonem,
Przykazań pańskich znieważone prawa.
Popraw się rzecze, zbrodniarzu bezczelny
Pomnij na wieczność, pomnij żeś śmiertelny.

XIII.

„Na słowa jego, zuchwalec zawzięty,
Zżyma się zionie obelgi zelżywe,
Bez względu na wiek i na urząd święty,
Bezbożną ręką targa włosy siwe,
I z szczytu schodów, gdy się starzec chwieje
Zrzuca go — kapłan upada i mdleje.

XIV.

„Lecz go podnosi ten co mieszka w niebie:
Powraca Biskup wpośród spiżów dźwięku,
Kapłańskie szaty odziewa na siebie,
Z mitrą na skroniach, z pastorałem w rękę,
Z tłumem pospulstwa, z duchowieństwem całym,
Idzie i stawa, przed zamkiem wspaniałem.

XV.

„Już wieczor: płomień rozdętych pochodni,
 Roztrącał światło o posempne mury
 Tu kapłan ręce podniósłszy do gory:
 „O ty zawołał, co przez tyle zbrodni,
 „Stoisz uparcie na bezbożnych drodze,
 „Ja ciebie jeszcze upomnieć przychodzę.“

XVI.

„Ja ci mą ciężką obelgę daruję,
 „Ale dziewczica, żona nieszczęśliwa,
 „Mąż co go w turmie srogość twa katuje
 „Wszystko na ciebie pomsty nieba wzywa,
 „Postrzeż się albo wszech władcy imieniem,
 „Przeklętym będziesz z całym twym plemieniem.“

XVII.

„Ledwie rzekł, niebo odzywa się grzmotem,
 Jak gdyby godło przeklęstw wyrzeczonych,
 Wśród wichrów, piorun z okropnym łoskotem,
 Uderza wśróddek szczytów wyniesionych:
 Lud strachem zdjęty przed Bogiem się koi,
 Sam Jazłowiecki niewzruszony stoi.

XVIII.

„Tu żona święta cnotą i modłami,
 Patrząc jakim się mąż gniewem zajmował,
 Padła mu do nóg, i błaga ze łzami,
 By pomazańca Bożkiego szanował;

Lecz wściekły, zbrojną prawicę podnosi,
Odpycha z wzgardą, tę co z płaczem prosi.

XIX.

„Z zranionem sercem, nieszczęsna matrona,
Podnosi w niebo żalosne źrenice,
Ciężką swą rozpacz tuli w głębi łona,
Łza cicha spada na śnieżne jej lice;
Odechodzi smętna, i z oczu mu ginie
Jak cień, kiedy się w światłości rozplynie.

XX.

„Lecz i tam, serce rycerza niezgięte,
Chce mówić: — już lud i kapłan strwożony,
Z krzyżem przed sobą, hymny nucąc święte,
Zniknęły z oczu, w inne uszły strony,
Gdzie żyły krocie, gdzie gmachy wyniosłe,
Cichość i ścieszki chwastami zarosłe.

XXI.

„Wszystko się czarną okryło żałobą,
Od winowajcy świat cały unika,
Postrzegł człek dumny gniew Bozki nad sobą,
A gdy go żałość już późna przenika,
Rzuca Jazłowiec, idzie na pustynie,
I tam w zgryzotach i rozpachy ginie.

XXII.

„Niedosyć na tem, zostawił po sobie,
Małego synka, nadzieję jedyną.

Z tym kiedy niańka w nadwieczornej dobie,
Idzie na wieżę piastując dziecinę,
Nieznana siłą czuje się trąconą
I puszcza dziecię w przepaść niezgłębioną.

XXIII.

„I sama z żalu rzuca się w pieczary,
Ani ich potem ujrzano popiołów,
Lecz Bóg przestępnym, chcąc dać przykład kary,
Przyjął dziecinę w liczbę swych aniołów,
Jawić się ludziom dał mu udział bozki,
Strzedz ich wprzygodach, i pocieszać troski.

XXIV.

„Jakoż do tych czas ten gród opuszczony,
Luba dziecina odwiedzać przychodzi,
Czy burza zniszczyć ma rolnika plony,
Czy trwoga padnie okropnej powodzi,
Maleńka dusza wraz się ukazuje,
Daje przestrogi, pomaga, ratuje.

XXV.

„Nieraz gdy matce zaśląbieje dziecko,
Mały aniołek natychmiast przybywa,
Woń słodka jego oznajmia przybycie,
A jasne światło skronie mu okrywa;
Słodkiem nuceniem przerywając ciszę,
Białą swą rączką dziecinę kołysze.

XXVI.

„A jeżeli Bozkie zrządają wyroki,
By się dni dziecka zbyt wczesnie przerwały,
Widziano nieraz jak ów anioł mały
Niosąc je z sobą wzbijał się w obłoki,
Z schylonem czołem przed Wszchemocnem stawał,
I dziecie wpoczet Cherubów oddawał.

XXVII.

„Tak zbrodnie ojca, syn błogosławiony
Swojem u niebios nagradza wstawieniem.“ —
Tu skończył starzec głęboko wzruszony;
Ja, com go słuchał z tkliwem rozrzewnieniem,
Jak rzecz w ojzystej wydarzoną ziemi,
Skreśliłem starca wzrazy własnymi.

XXX.

BĄDŹ ZDROWA.

Lord Byron do żony.

Bądź zdrowa... a choć i na życie całe,
I tak bądź zdrowa; przyjm me pożegnanie:
Acz mówią że me serce skamieniałe,
Jednak przeciwko tobie niepowstanie.

Umkniesz się pierś ta od ciebie na wieki,
Na którejś nieraz głowę twą składała,
Kiedy sen letki sklejał twe powieki,
Ten sen, coś go już dzisiaj postradała.

Serce me jeszcze kocha ciebie rzewnie,
Ach! gdybyć jego tajniki odkryto,
Nieszczęsna! wtenczas poznałabyś pewnie
Że tak nim gardzić słuszością nie było.

Chociaż cię zato wysławia świat cały,
I z mąk się moich naśmiewa,
Krzywdą dla ciebie, jest rodzaj tej chwały,
Kiedy z mych nieszczęść wypływa.

Nie jedne może wady mię splamiły,
Lecz czemuż inne dłonie niewybrane?

XXVI.

„A jeżeli Bożkie zrządają wyroki,
By się dni dziecka zbyt wczesnie przerwały,
Widziano nieraz jak ów anioł mały
Niosąc je z sobą wzbijał się w obłoki,
Z schylonem czołem przed Wszechmocnem stawał,
I dziecie wpoczet Cherubów oddawał.

XXVII.

„Tak zbrodnie ojca, syn błogosławiony
Swojem u niebios nagradza wstawieniem.“ —
Tu skończył starzec głęboko wzruszony;
Ja, com go słuchał z tkliwym rozrzewaniem,
Jak rzecz w ojzystej wydarzoną ziemi,
Skreśliłem starca wraży własnymi.

XII.

BĄDŹ ZDROWA.

Lord Byron do żony.

Bądź zdrowa... a choć i na życie całe,
I tak bądź zdrowa; przyjm me pożegnanie:
Acz mówią że me serce skamieniałe,
Jednak przeciwko tobie niepowstanie.

Umknieź się pierś ta od ciebie na wieki,
Na którejś nieraz głowę twą składała,
Kiedy sen letki sklejał tve powieki,
Ten sen, coś go już dzisiaj postradała.

Serce me jeszcze kocha ciebie rzewnie,
Ach! gdybyć jego tajniki odkryto,
Nieszczęsna! wtenczas poznałabyś pewnie
Że tak nim gardzić słuszością nie było.

Chociaż cię zato wysławia świat cały,
I z mąk się moich naśmiewa,
Krzywdą dla ciebie, jest rodzaj tej chwały,
Kiedy z mych nieszczęść wypływa.

Nie jedne może wady mię splamiły,
Lecz czemuż inne dłonie niewybrane?

Ale te, co mię do serca tuliły,
By te krwawą zadać ranę.

Niechaj cię, niechaj niezwodzi błąd mylny,
Stopniami miłość omdlewa,
Przeciąć ją razem, choćby cios był silny,
Niechaj nikt się niespodziewa.

Iskra jej, jeszcze w twojem sercu tleje,
I moje bije choć znękanę próbą,
A myśl okropna, na którą truchleję
Jest.... że się więcej niespotkamy z sobą.

Sroższe te słowa, drżące bez ustanku,
Niż kir śmiertelny, na ciele zdrętwiałem:
Oboje w życiu... a każdego ranku,
Budzić się będziem w łożu owdowiałem.

Gdy na twym ręką, córka nasza mała,
Szczebiotać zacznie: będziesz że ją uczyć,
By słowo ojciec, pierwsze wymawiało,
Kiedy się wzdrygasz ojcu jej poruczyć.

Kiedy ci rączki na szyję zarzuci,
I usta swoje do twoich przycisnie;
Może się słodko myśl twoja zasmuci
I pamięć męża nieszczęsnego błysnie.

Cóż kiedy twarzą ta dziecina biedna,
Przypomni tego, co był lubym wprzód;

Zadrży two serce, łza może nie jedna,
Zrosi two śnieżne jagody.

Znane są tobie, ciężkie moje wady,
Lecz szaleństw moich nikt nie może wiedzieć,
Nadzieje moje pójdą w twoje ślady,
Lecz kędy? ... kędy? ty możesz powiedzieć.

Niedola, wszystkie czucia me zraniła,
Pycha niezgięta przed zawistnych gwarem
Padła przed tobą... lecz gdyś mną wzgardziła,
Życie już tylko ciężarem.

Stało się, chciałaś, dalsza mowa próżna,
Próżne słowa w mej niedoli;
Lecz myśli których ujarzmić nie można
Cisną się pomimo woli.

Żegnam cię, smętne przeszedłszy koleje,
Gdy wiecznie z tobą przyszło się rozłączyć,
Zeschło me serce, zwiędły me nadzieje,
A śmierć się wzdryga męki mej dokończyć.

XXXX.

W U M A.

Z Ruskiego.

O k r o p n a p u s z c z a .

Bracia! któż dotąd choćby nieznał trwogi,
 W ten las okropny śmiał wkroczyć,
 Ni sęp żarłoczny, ani orzeł srogi,
 Nie wąż się nad nim toczyć.

Przecież o bracia, w tym cienistym borze,
 Jest środkiem gościniec znaczny,
 Młodzieniec świeższy nad poranne zorze,
 Śmiał się tam zbliżyć niebaczny.

Było to właśnie, gdy złotym promieniem,
 Z wód czystych słońce wschodziło,
 A kiedy błądy księżyc wstał ze drżeniem,
 Niestety! już go nie było.

Patrzcie przy źródle, w tej krzaków gęstwinie,
 Nieszczęsny leży zabity,
 Z zranionej głowy czarna krew mu płynie
 Przez serce, strzałą przeszyty.

Pościelą jego, jest trzcina wodnista,
 Na łozie, głowa spoczywa,

Przykryciem jego, noc jesienna mglista,
Zimna, cierpka i burzliwa.

Tam gdzie młodzieńca leży martwe ciało,
Trzy jaskółki przyleciało,
Pierwsza na głowie, druga, gdzie pierś zbladła,
Trzecia na nogach usiadła.

Pierwsza jaskółka, była matka tkliwa,
Druga siostra ulubiona,
Trzecia co smutna na nogach spoczywa,
Nieszczęsnego młoda żona.

Te, martwe ciało, wzięwszy dzióbki swemi,
Szparkim je lotem zaniosły,
Na zamek co go z baszty wysokimi
Już dzikie bluszcze obrosły.

Lzy matki były jak rzeka wezbrana,
Lzy siostry, jak zdroje czyste,
Lzy żony były, jak gdy rosa z rana,
Pada na kwiaty barwiste.

Ale czas rzekę wrócił w dawne łoże
Toż się stało i z strumieniem,
I lzy jutrzeńki co spadły na różę
Osuszył Zefir swem tchnieniem.

XIV.

D U M A

Z Ruskiego.

M o ł o d e c.

Już mgła na morskiej opadła powodzi,
 Już żalność padła w serce wojownika,
 Z sinego morza, mgła szara nieschodzi,
 Ni żalność z serca Mołodca nie znika.
 Nie jest to gwiazda, co błyszczy na łące,
 Lecz jakieś światło zwodne latające.
 Tam niedaleko był wojłok rozwarty,
 Na nim leży Mołodec na ręku oparty,
 Śmiertelną ranę w piersiach odniesioną,
 Przyciska chustką skrwawioną,
 Przy nim koń stoi dzielne Donu plemię,
 Ostrem kopytem, mokrą zrywa ziemię,
 I tak, (jak powieść niesie),
 Czyli sam mówi, czy mówić zdaje się:
 „Wstań mój Mołodeu, wstań mój dobry Panie,
 „Niedaj się dłużej broczyć twojej ranie,
 „Chwyć się za grzywę mą długą,
 „Usiądź na wiernego sługę.
 „On cię zanieśie w dom twój ulubiony,
 „Do twej matki, do dzieci, do twej pięknej żony.“
 Na te słowa Mołodec łzami twarz swę rosi,
 Piers mu szeroką ciężkie westchnienie podnosi,

Tak silne niegdyś ręce, opadły zemdlone,
 A gdy mu z rany lecą krwi strugi spienione,
 Tak do konia przemawia: — „O koniu mój dobry,
 „Nigdy niezmordowany, i rączy i chrobry,
 „Coś w służbie Cara mego, szedł ze mną na wojnę,
 „I tam lotniejszy od wichrów szalonych,
 „Wpółśród ognistych gradów wypuszczonych,
 „Dzieląc z panem twym chwałę zcierał szyki zbrojne,
 „Jużeś mi niepotrzebny, tak kazał los ślepy;
 „Idź w dalekie Donu stepy,
 „Powiedz mej młodej wdowie, żem me śluby zmienił,
 „Żem się już z inną ożenił,
 „Żem już umowy wiecznemi,
 „Wziął z nią w posagu, kilka piędzi ziemi,
 „Że ostra szabla już nas połączyła,
 „A gorejąca strzała spać nas położyła.“ —

ΣΥ.

Allegro czyli wesoly.*Z Milтона.*

Precz odemnie smutku srogi,
 I co czarnym umysł czyni,
 Tobie w Stygijskiej jaskini,
 Wśród poczwar, krzyków, i trwogi,
 Kędy świst smoków, gdzie tygrysów wycie,
 Cerber i północ, darowały życie.
 Idź szukaj sobie innego pobytu,
 Tam gdzie mgły wieczne, kędy nie ma świtu,
 Gdzie głucha ciemność skrzydła swe roztacza,
 Gdzie kruk nocny śmierć oznacza,
 Pod cieniami hebanu, od słońca daleki,

Mieszkaj na wieki.

Przyjdź pełna wdzięków, pogodnego czoła,
 Przyjdź Eufrozyno wesola;
 Ciebie Wenera, wraz z siostry swojemi,
 Zawsze luba, zawsze miła,
 Między wonnemi mirtami,
 Uwieńczonemu bluszczem Bachowi powiła:
 Albo jak inni wynalazkiem nowym,
 Twierdzą, że właśnie po deszczu majowym
 Zefir napotkawszy raną,
 Zorzę rumianą,

Na posłaniu z róż pachnących,
I z fijałków łzę roniących,
Słodko ją cisnąc . . . o szczęśliwa dobo,
Napełnił sobą.

Przychodź o siostró wybrana,
Piękna, hoża, i rumiana,
Spiesz się o Nimfo, niech z tobą przychodzą
Lube pustoty co nam życie słodzą,
Zabawy, żarty, uciechy,
Dowcip bystry, i przenikły,
I te łudzące uśmiechy,
Co w dołkach Heby gnieździć się nawykły:
Spiesz, prowadź z sobą niczem nieugiętą,
Nimfę gór leśnych, wolność ludziom świętą.
A jeźlić wdzięczne prośby co do ciebie wnoszę,
Niech się z tobą nierozdziele,
Niech moją będzie twa radość, wesele,
Mojemi twoje rokosze.

O! luba Nimfo, nim ostatek cieni,
Z niebieskich zniknie sklepieni,
W mieszkaniu wiejskiem mię szukaj,
Zbliź się przez wonne gęstwiny,
Fijałki, róże, jaśminy,
I w okno moje zapukaj;
Pójdziem patrzeć, jak ledwie w obłokach dojrzany,
Skowronek ze snu, budzi świt rumiany;
Jak raz krążąc w lazurach kędy huczą gromy,
Śpiewa, i znów się spuszcza pod kamień poziomy;
Jak pyszny kogut krzykiem przeraźliwym,
Pstre małżonki z grzędy płoszy,

Również dla wszystkich zalotnym i tkliwym,
Zarównie słodkiej udziela roskoszy.
Jakież to okrzyki głośne
Po kniejach echo powtarza radośne?
Jakież ja słyszę wołanie,
Tromby myśliwców, i ogarów granie,
Jakaż się po tych lasach, ciągiem wód tych brzegu,
Wrzawa rozlega?

Patrz z wierzchu skały jeleni siedmiorogi,
Z rozciągniętymi na powietrzu nogi,
Szybkim pędem unosząc życie zagrożone,
Suwa przez czarną przepaść, lub nurty spienione;
Krzyk się radośny na około mnoży,
W zielonym stroju poczet jeźdźców hoży,
W wypuszczonej zawodzie króla lasów ściga,
Raz się kryje w gęstwinie, znów po łąkach miga,
Już je oko straciło; w dalekiej ustroni,
Głos myśliwców, tentent koni,

Co raz słabiej słuch dotyka,
Gubi się, gubi i znika.
Nastała cichość: niezmierzona okiem,
Kraina lubym zachwyca widokiem,
Jasnym błękitem niebo się powleka,
Na nim runo za runem letkich chmur ucieka.
Schylony oracz, pług swój prowadzi po niwie,
Kmieć ostrzy kosę, włudarz już stoi przy żniwie;
Po błoniach, smugach, gajach, u struga tej wody,
Pasą się różno barwie rozrzucone trzody,
Dalej szarym łańcuchem, ciągnące się góry,
Na nich znużone nie raz spoczywają chmury.

Rozległe łąki, setnym posypane kwiatem,
 Gorejące rubinem, błyszczące szkarłatem,
 Między dęby, gdzie szczupłej posiadłości szranki,
 Dym się wznosi do góry z ubogiej lepianki.
 Dalej wpośród tych więzów ciemnych rozłożystych,
 Wzbija się stary zamek na szczytach skalistych,
 Może w nim piękność jaka od zmierzchu do ranka,
 Długo oddalonego wygląda kochanka;
 Inny widok, gdzie snopek ostatni się znasza,
 I właściciel swych kmieci, na gody zaprasza;
 Jak hożą jest ta pierwsza w okrężnym dziewica,
 Co wieniec z ciężkich kłosów dźwiga na swej głowie:
 Ach! jak żywo rumieni nadobność jej lica,

Wesołość praca i zdrowie!

Śpiewają proste pieśni, też same ich składy,
 W jakich za Piastów jeszcze nuciły pradziady.
 Zniknęła pamięć znojów, radość na ich czole,
 Już się wzięli za ręce; raz w wesołym kole,
 Znów pary, młodych Bartków, Kasięk ulubionych,
 Wywijają się dziarsko, w tańcach nieuczonych;
 Ale nim kur zapieje, wesola ta rzesza,

Do poziomych strzech pospiesza.

Nie miętkie łoża, nie puchy pieszczone,
 Lecz w szopach siano świeżo ukoszone,
 Jest ich posłaniem: wkrótce wietrzyk chłodny,
 Na unużone członki zsyła sen łagodny;
 Z powstaniem zorzy, tryb dzienny powraca,

Wesołość, pieśni i praca.

Inne są w pysznych godach, wesela, zabawy,
 Czy słyszysz ten gwar, te krzyki, te wrzawy,

Cóż są w jasnych kryształach te światła tysiące,

Te pochodnie gorejące:

Jakie tryumfów, oznaki niepłonne,

Te Quadrygi czworokonne,

Te bieguny na lewo na prawo rozdarte,

Te bohaterzy na nich rozpostarte !

Okryte tysiąc wstęgami,

Lecą do gmachów płonących ogniami,

Kędy tysiąc piękności chciwy wzrok zachwyca,

I przepychem ubioru, i wdziękami lica.

Śnieżne ciało, pajęczę odzież ich przenika,

Drobna nóżka, zaledwie ziemi się dotyka,

Kręcą się młode pary nieścignionym krokiem

I poją się nawzajem rokoszy potokiem.

Jeżeli ci milszemi, sceny naszej dziwy,

Prowadź mię wesołości, gdzie syn twój prawdziwy,

Gdzie Żółkowski, co nigdy słuchacza nienudzi,

Co śledzionnika nawet do śmiechu pobudzi,

Co czy mówi, czy pisze, czy marsa nastawi,

Zawsze jest nowym, zawsze rozrywa i bawi;

Tam gdzie nas Zdanowicza bawią krotofile,

Co w rozlazłych Kasperkach ma doweipu tyle.

Milsza jest rokosz, dla czuć rzewnych lubownika,

Gdy wdzięczne pienie, serce do głębi przenika,

Kiedy rym nieśmiertelny słodyczą muzyki,

W najskrytsze duszy naszej wkrada się tajniki,

Gdy nam słodzi obecność, w czas zeszyły przenosi,

Miękczy, rozrzewnia, drażni, budzi i unosi.

Wdziękiem takiej harmonji Orfeusz przed laty,

Szukając drogiej swej straty,

Wzruszył Ereby zagniewane cienie,
 Na lutni jego żalosne jęczenie.
 Zmiękczył się Pluto, i po twarzy zbladłej,
 Żelazne łązy mu upadły.
 O wesołości, w troskach co ponoszę,
 Daj mi podobne roskosze.
 Daj mi spokojność, wesele,
 A ja się z tobą nigdy nierozdzielę.



EVL.

II Pensoroso czyli zadumany.*Z Milтона.*

Precz ztąd odemnie znikome uciechy,
Igraszki, pustoty, śmiechy,
Cóż roztrzepania, co czeze głowy bawia,
W umyśle naszym zostawia?
Zostańcie wiecznie z płochemi wietrzniki,
U nich, rój marzeń i przywidzeń dziki,
Jak tłum motylów z różno barwiem piórem,
Kręci się przez dzień, i ginie wieczorem.
Przychodź begini dumaniem zajęta,
Przychodź melancholio święta,
Zbliż się o ksieni czysta wstrzemięźliwa,
Słodka, pokorna, i tkliwa.
Przyodziana szatą ciemną,
Z wybladłą twarzą z postacią przyjemną,
Postępuj powolnym krokiem,
Z podniesionem w niebo okiem.
Cóż cię może zastanawiać?
Zdajesz się z niebem rozmawiać,
Idziesz... znów stajesz, bez ruchu i głosu,
Jak posąg z białego ciosu.
Cóż jest to twoje dumanie?
Czyli już słyszysz sfer niebieskich granie?

Znów oczy spuszczasz ku ziemi,
Pokój i cichość skrzydłami swojemi,
Zasłaniają cię w około: przykre każde brzmienie,
Chyba że słowik miłosny,
Kojąc swój smutek żalosny,
Daje ci słyszeć płaczliwe swe pienie.
Luby śpiewaku, ty co w ciemnym lasku,
Stronisz od człeka, i od słońca blasku,
Ty co tak wdzięcznie słodzisz nocy cisze,
Z jakąż rokoszą, ja cię zawsze słyszę!
Gdy ty przestaniesz, ja odchodzę smętny,
W ciche ustronie, gdzie kamień pamiętny,
Przykrywa drogie mi cienie,
Lub wzniosłszy oczy w niebieskie sklepienie,
Patrzę na rozsypanych swiatów miliony.
Nieraz na wzgórku stojąc zamyślony,
Gdzie gęste lipy dają mi okrycie,
W słodkiej wieczornej porze,
Dalekiego kościółka słyszę dzwonów bicie,
I jak się dźwięk ich gubi, po czystem jeziorze.
Prowadź mię czasem, na te pyszne sceny,
Na widowiska srogiej Melpomeny,
Niech na nich widzę niestrwożonych Cydów,
I okropny ród Atrydów,
Niechaj na bohaterów patrzę nieśmiertelne,
Na wyniosłe ich czucia, na ich czyny dzielne,
Mężę co nieznający spodlenia naszego,
I w samej nawet zbrodni, mieli coś wielkiego!
Lecz już i scenie polskiej chwała się zapewnia,
Podnosi mię Ludgarda, Barbara rozrzewnia,

Leduchowska nieznane czuć daje słodycze,
Unoszą, Szymanowski, Werowski, Kudlicze;
Lecz jeżeli czas dżdżysty, pozwól niech się schronię,
Gdzie w rogu mego komina,
Wszarych popiołach reszta węgla płonie,
I wśród ciemności światło przypomina.
Głucha samotność zacisz mą okrywa,
Chyba świerszcz w szparze smutnie się odzywa,
Albo stróż nocny, przez swe smutne pienie,
Przerwie milczenie.

Już noc nadeszła, wnijdę na tę wieżę,
Co ostatek ruin strzeże,
I rozbija nawałnice;
Niech tam mą lampę zaświecę,
Niech przy jej bladym płomieniu,
Myśli moja uniesiona,
W całym swoim natężeniu,
Bozkiego zgłębia Platona.
Niech on mię uczy, kędy są te światy,
Gdzie te dziedziny, w jakim gwiazd zakresie,
Gdzie dusza nieśmiertelna, swe doczesne szaty,
Zwlokłszy, w szczęśliwych pobyt się przeniesie:
Co są te ciemne duchy, czarnych piekieł płody,
Co napełniając ziemie, powietrza i wody,
Rządząc gwiazd licznych biegiem, żywoły wszelkiemi,
Wpływ tak silny mieć zwykły, nad losy naszymi.
Tak myśląc w nocy, szukam poznać świat i siebie,
Aż zorza, ranną jasność rozleje na niebie.
Już zeszła, lecz nie taki jej poczet, odzienie,
W jakim z Attyckim chłopcem ściagała jelenie;

Białą, leciuchną obłok, ozdabia jej skronie,
 Unoszą je zefiry, otaczają wonie,
 Świeżym jaśniej blaskiem, a z różowej szaty,
 Spadają wonne rosy na liście i kwiaty.
 Lecz już słońce wzniesione w szczyt niebios wysoki,
 Leje na świat zemdlony ogniste potoki:
 Prowadź mię o bogini, w ustępy cieniste,
 Gdzie się dębów kołyszą szczyty wiekujste,
 Dębów, co nigdy ostra nietknęła siekiera,
 Lub w te gaje kędy się ukradkiem przedziera,
 Między gęstemi liści, promyk światła słaby. —

Jakież tu nowe powaby!

Ileż tu pełnych kwiatów, jak po tych kamieniach,
 Zdrój spieniony ucieka, w tysiącznych strumieniach,
 Jak po tych ziołach krzewach, różną farbą litych,
 Brzęczą tysiączne roje, pszczołek pracowitych!
 Tu, niech na tej murawie od zgiełku daleki,
 Rozciągnięty, znużony zamrów powieki,
 Zeszlij mi o bogini trosków zapomnienie,
 I snów pocieszających łudzące marzenie;
 A kiedy się obudzę niech co tylko zionie,
 Głosy liczego ptactwa, wszystkich kwiatów wonie,
 W miłym mi zachwyceniu całego unoszą,
 I wszystkie zmysły moje napoją roskoszą.
 Lecz nadewszystko prowadź mię bogini,
 Do tej szanownej, posępnej świątyni,
 Gdzie tysiąc kolumn, setnemi ramiony,
 Wspiera szczyt sklepień wiekiem zaciemniony,
 Gdzie z długich okien, farby i wzory złociste,
 W wątych brytach, rzucają światło uroczyste:

Tam kiedy lud schylony Wszechmocnego prosi,
Niech drżący hukiem organ, modły ich podnosi,
Niech przy tych hymnach świętych, przy tem wdzięcznem
pieniu,

Rozpływa się ma dusza, w słodkiem zachwyceniu :
Niechaj nakoniec przy schyłku dni moich,
Za najdroższy z darów twoich,
Znajdę spokojną jaskinie,
Kędy czysty strumień płynie,
We dnie niech zbieram zioła, ulgę przynoszące,
W nocy niech patrzę w gwiazdy nademną krążące,
Niech tam nakoniec bez trwogi i winy,

Ostatniej czekam godziny ;
Jeżli mi dasz te dobra, ręczyć mogę śmieie,
O bogini ! nigdy się z tobą nierozdzielę.

XXVII.

D U M A.

Naśladowana z Angielskiego.

Dzieci w lesie.

Tam gdzie Dniestr toczy swe nurty spienione,
 Był szlachcie mienia dobrego,
 Kochał ojczyznę, swe dzieci i żonę,
 Nie pragnął dobra cudzego,
 Jak mąż cnotliwy, życie swoje trawił
 Ludzie go czcili, a Bóg błogosławił.

Niema na świecie szczęśliwości trwałej,
 Powietrze, ów śmierci goniec,
 Dobrego męża, i żony zbolelej,
 Przybliżyły smutny koniec:
 Wkrótce za życia, miłością spojone,
 Jeden grób zawarł i męża i żonę.

Dwoje maleńkich dzieci pozostało,
 Dziewczynka, i chłopiec luby,
 Jedno dwa lata, a drugie trzy miało,
 Piękne, jak niebios cheruby,
 Usta jak wisznie, włos spadał pierścieniem,
 Wdzięczne uśmiechem, a słodkie spojrzeniem.

Ostatnią wolą do równej połowy,
Przypuścił ojciec swe dzieci,
Dla córki posag zostawił gotowy,
A synowi włość i kmieci,
Gdyby zaś małe zejść miały ze świata,
Panem majątku postanowił brata.

Woła do łoża, i głosem płaczliwym,
Tak się do niego odzywa:
Bracie, bądź dzieciom moim litościwym,
W tobie ma ufność spoczywa:
Nie długie na tym świecie nasze bycie,
Tobie i Bogu, polecam ich życie.

Przydała matka, mniej o nich staranie,
Niech rodziców znajdą w tobie,
Ach Bóg wie, co się z malenkimi stanie,
Kiedy my legniemy w grobie,
Czem się w tej ważnej okażesz potrzebie,
Czem będziesz dla nich, Bóg będzie dla ciebie.

To mówiąc, oba płaczące dziecięta,
Zimnemi oblewa łzami,
Ach niechaj rzecze, Opatrzności święta,
Dzień i noc czuwa nad wami:
Dla tkliwej matki nad wszystkie kłopoty,
Najcięższym, biedne porzucać sieroty.

Nie trwóż się siostro, nieszczery brat rzecze,
O te wasze dzieci młode,

Mieć będę o nich, jak najczulszą pieczę,

A jeżeli was zawiodę,

Niechaj gniew tego, co światami włada,

Na mnie, na żonę, na me dzieci spada.

Zmarli rodzice, on niebacząc więcej,

Do domu sieroty bierze;

Lecz nie minęło dwanaście miesięcy,

Gdy zdradliwy, w danej wierze,

Przez chciwość, co się Boga nieobawia

Knuje im zgubę, i sidła zastawia.

Najął dwóch zbójców z okropnem wejrzeniem,

By w las dzieci wprowadzili,

I tam w ustępie między gęstwy cieniem,

Niemilosiennie zabili.

Sam zaś rozgłosił przez piekielną sztukę,

Że je do miasta posłał na naukę.

Poszły więc dzieci wesołe szczęśliwe,

Wziąwszy się z sobą za ręce,

Na ich twarzyczkach, jak róże wstydlive,

Jaśniały krasne rumieńce,

A biedne do tych, co ich zgubić miały,

Mówiły słodko, i wdzięcznie się śmiały.

Te ich niewinne wdzięki i rozmowy,

Tak jeły zbójców ujmować,

Iż litościwszy, był całkiem gotowy,

Nieszczęsne dzieci zachować;

Lecz drugi pewny, na zbyt hojne dary,
Chciał przyrzeczonej dopełnić ofiary.

Przyszło do sporów, od sporów do bitwy,
Drżały dziecińy lękliwe,
Aż w końcu walki i srogiej gonitwy,
Zbójca co miał serce tkliwe,
Złoczyńcę który tak hardo się srożył,
Śmiertelnym ciosem bez duszy położył.

Wziąwszy za ręce chłopca i dziewczynę,
Gdy się łzami oblewały,
O dużą milę zawiódł ich w gęstwinię,
Mówiąc żeby nieplakały,
Zostańcie przydał, krzyczyć tu nietrzeba,
Wrócę, i kawał przyniosę wam chleba.

Biedne dziecińy chodziły dzień cały,
Po łomach, gęstwach niewczesnych,
Świeże ich usta w koło poczerniały,
Od ożyn i jagód leśnych:
A gdy noc przyszła, i gwiazdy zniknęły,
Usiadły na mchu, i płakać zaczęły.

Nazajutrz ledwie powstać mogły z ziemi,
Znów widząc puszcę bezdrożną,
Zaczęły wołać głosy żalosiemi,
Ale wołały na próżno.
Nikt się nieozwał, zniknął cień otuchy,
Okropność tylko, i szum dębów głuchy.

Strach ich ogarnął, błędą przez dzień cały,
 Chcą się przedrzeć manowcami,
 A gdy już nóżki pod niemi omdlały,
 Wziąwszy się na pół rączkami,
 Znużeni padli oboje na ziemię,
 Aż śmierć ulżyła długich cierpień brzemię.

Nie było ręki, coby ciała drobne,
 W skromnej złożyła mogile,
 Bładość zmieniła twarzyczki nadobne,
 Mijały nie jedne chwile;
 Aż ziemby, co się w tych krzewach gnieździły,
 Reszty ich liściem, i kwiatem okryły.

Nie długo czyn ten został utajony,
 Bóg trzyma zemsty pochodnie,
 Tenże złoczyńca, gdy za inne zbrodnie,
 Na śmierć został osądzony,
 I tę wyjawił, a lud zgrozą zdjęty,
 Wołał, niech będzie na wieki przeklęty.

Już wprzód, nim czyn ten został wyjawiony,
 Doznał stryj przedwiecznej kary,
 Majątek jego w pieniąctwie strwoniony,
 Nierodzajne niw obszary,
 Wymarły trzody, dom zgorzał płomieniem,
 Wszystko dotknięte niebios złorzeczeniem.

Dwóch synów morskie pochłoneły fale,
 Sam do ciężkiej przyszedł nędzy,

Smutek, zgryzota, i niewczesne żale,
Pasma życia jego przędzy
Wlokły czas jaki, aż srogie katusze,
Wtrąciły w piekło winowajczą duszę.

O wy co chciwi cudzego majątku,
Nieznacie Boga ni prawa,
Wy pozbawieni uczciwości szczątku,
Dla których niczem niesława,
Uczcie się, jak podstępny, pieniactwo, potwarze,
W ojcach i dzieciach Bóg przedwieczny karze.

Próżno przez wasze sztuki i obroty,
Przedajnych sędziów kupicie,
Zgnieciecie na czas nieszczęsne sieroty,
Lecz krótkie będzie użycie;
Bóg ściga zbrodnie, czy później, czy prędzy,
Zaginie ród wasz w niesławie i nędzy.

XVIII.

BARBARA.

*Z Angielskiego.***J e s t n a s s i e d m i o r o .**

Mój przyjacielu, małe, proste dziecko,
Co jeszcze trosków nieznało,
Co w każdej żyłce nowe czuje życie,
Cóżby o śmierci wiedziało?

Jam jednak spotkał pod tej lipy cieniem,
Dziewcze co siedem lat miało,
Włosy jej gęstem kręcąc się pierścieniem,
Spadały na szyję białą.

Coś w niej dzikiego, lecz ruszenie snadne,
Ubogą odzież nosiła,
Oczy jej ładne, ale bardzo ładne,
I twarzyczka dziwnie miła.

Powiedz mi pytam stojącej z pokorą,
Ileż masz i sióstr i braci?

A ona w swojej niewinnej postaci,
Jest nas odpowie siedmioro.

I gdzież są pytam, ta rzecz nieśmiele:
Jest nas siedem niech Pan wierzy,

Dwoje z nas mieszka w tem pobliskiem siele,
A dwóch wzięto do żołnierzy.

Dwoje nas na tem cmentarzu tam leży,
Brat i siostra dzieci Mamy,
A przy cmentarzu w bok kościelnej wieży,
Ja z moją matką mieszkamy.

Mówisz że w siele tem mieszka was dwoje,
A dwóch do żołnierzy wzięto,
A jest was siedem, zważaj dzieci moje,
Że to rzeczą niepojętą.

Jest nas siedmioro dziewczynka powtarza,
I siostr, i braci pospołem,
Dwoje nas leży na rogu cmentarza,
Pod drzewem, za tym kościołem.

Cóż ci się dzieje, gadaj jak należy,
Jesteś zdrową, biegasz skoro,
Jeżeli was dwoje, na cmentarzu leży,
To jest was tylko pięcioro.

Groby ich rzecze dziewcze są zielone,
Porosły czasem niedługim,
Od domu kilka kroków oddalone,
Widać je, jeden przy drugim.

Tam ja pończochy dla matki mej robię,
Prątkami ot tak długimi,

I tam na ziemi, nieraz siadę sobie,
I siedząc śpiewam nad niemi.

Ma siostra Basia umarła najpierwej,
Błada, i rączki jej drżały,
Biedna, na łóżku płakała bez przerwy,
Aż ją Bóg wziął do swej chwały.

Gdy ją przykryli deskami z stron obu,
Gdy ją ziemią przysypali,
Ja z bratem Jasiem w około jej grobu,
Całeśmy lato igrali.

Lecz kiedy wiatry dać zaczęły ostro,
I świat cały śnieg przykrywa,
I Jaś mój biedny pójść musiał za siostrą,
I tuż obok niej spoczywa.

Rzekłem: do nieba, gdy poszło was dwoje,
Ileż na świecie zostanie?

Dziewczynka, zawsze odpowiada swoje,
Siedmioro, dobry mój Panie.

Lecz ci co zmarli? musieli umierać,
Lecz duch ich poszedł do nieba.

Zamilkłem; widząc, że próżno się spierać,
I że dziecku uleż trzeba,

Gdyż to z uporem ciągle powtarzało,
Że ich siedmioro zostało.

III.

PIEŚŃ DLA LUDU.

I.

Wielki Boże przed twym tronem,
Zgromadzony lud twój staje,
I z czołem w ziemię schylonem,
Głęboką cześć ci oddaje.
Już nasze i ojców winy,
Obmyte płaczem rzewliwym,
Myśmy Piasta twego syny,
Bądź nam ojcem litościwym.

II.

Racz wspomnieć na Mieczysława;
On fałszywe stłukł bałwany,
I z schylonemi kolany,
Święte twoje przyjął prawa.
Wnukowie jego o Panie,
Potężnym krajem władali,
Tyś ich rozwiódł panowanie
Od brzegów Dniepru do Sali.

III.

Tobie pierwszy z Jagiellony,
W skruszonego serca darze,
Bratnie Litwy miliony,
Przed święte przywiódł ołtarze;

Nad Niemnem, Donem, przy Dźwinie,
Świątynie pańskie powstały,
Powiewał wspólnej rodzinie,
Przy Pogoni Orzeł biały.

IV.

Błogosławiłeś im Panie,
Lecz gdyś odwrócił oblicze,
Poszło nasze panowanie,
Na obcych ludów zdobycze.
Zniósł z pokorą umysł mężki,
Co tylko człowiek znieść może,
Wstrzymaj, wstrzymaj dalsze klęski,
O ty wielowładny Boże!

V.

Już złożonym w ciemnym grobie,
Powróciłeś iskrę życia,
Daj dzisiaj w całej ozdobie
Ujrzyć blask dawnego bycia.
Błogosław Boże królowi,
Panom w radzie, wojsku w boju,
Dozwól twojemu ludowi,
W pożądanym żyć pokoju.

VI.

Mnóż nasze żniwa i trzody,
Spuszczaj rosy pożądane,
Chowaj od wszelkiej przygody
Dzieci nasze, ukochane.

Niech te słabe niemowlęta,
Co się kwilą w matek łonie,
Pokrzepia dobroć twa święta,
Ku twej chwale i obronie.

VII.

Trudy, znoje, w skwarnem lecie,
Daj nam ponosić cierpliwie,
Pewnym, że ty w lepszym świecie
Nagrodzisz je litościwie.
A z smutnej chwili zbliżeniem,
Niechaj wierni w twym zakonie,
Z czystem sercem i sumieniem,
Usypiamy na twem łonie.



ODA DO PRZEBECIWNOSTCI.

Z Angielskiego przez Grąj.

Córko Jowisza, władzo nieugięta.

Uśmierzycielko burzliwych,

Twój bicz żelazny, twa chłosta zawzięta,

Zasmuca dobrych, przeraża złośliwych.

W dyamentowe ujęty okowy,

Czuć mocarz purpurowy,

Ten co go własna niezastraszy wina,

Pod twem ciężkiem ramieniem dymny kark ugina.

Gdy cię twój ojciec zesłał na tę ziemię,

Cnocie powierzył twoje wychowanie,

Rozkazał, by to Bozkie jego plemie,

Poznało wczesnie co prześladowanie;

Surowa ochmistrzynio, twe obejścia srogie,

Z pokorą dziecko znosiło ubogie,

Co jest niedola tyś jej poznać dała,

A ona znając własną, cudzą czuć umiała.

Na wzrok surowy, na spojrzenie twoje,

Pierzcha pustota, płochość i uciechy,

Próżne zabawy, lekkomyślne śmiechy,

Znikają przyjaciół roje,

Co jak niekzemnych owadów zarody,
Kręcą się tylko w dniu jasnej pogody:
Przyjaciół, co cię pochlebstwy uwodzą,
Lecą za szczęściem, ze szczęściem uchodzą,

Cz ci zostanie w twojem opuszczeniu,
Cnota, znosząca srogich ciosów brzemie,
Smętność, co w słodkiem swoim zamyśleniu,
Ciężką żrenicę, lubi zniżać w ziemię;
Pokój czystego sumienia,
I czułość tkliwa na bliźnich cierpienia,
I litość, co na widok żalosnej przygody,
Roni łzę cichą na blade jagody.

Na głowę co się ugina w pokorze,
Ach! spuszczaś letko rękę twą karzącą,
Nieprzychodź w strasznym Gorgony ubiorze,
Precz bicz jej krwawy i węże świszczące:
Bezbożnik, zdrajca, co sprzedał swych braci,
Niech cię w tej straszej ogląda postaci;
Przeznacz bogini dla takiej niecnoty,
Ciężkie rozpaczę, niewczesne zgryzoty.

Lecz dla mnie, przybierz postać łagodniejszą,
Czarna mię jeszcze niesplamiła kaźni,
Niech się przez wpływ twój wady moje zmniejszą,
Niech się me serce, łagodzi, niedrażni,
Zgasłej iskierce daj się znów zajmować,
Ucz mię jak kochać, naucz jak darować,
Niech surowy dla siebie, z zachodzącym wiekiem,
Czuając jakimi drudzy, sam się znam człowiekiem.

W i e j s k i P l e b a n.

Z Angielskiego.

Gdzie był ów ogród, gdzie się lipy wznoszą szczytnie,
I gdzie jeszcze niejednen kwiat zdziczały kwitnie,

Gdzie polna róża świeci niezerwana,
Stało niegdyś mieszkanie wiejskiego Plebana.

Był to mąż bogobojny, z postacią nieśmiałą,

Słowem był to duchowny, jakich dzisiaj mało.

Los mu szczupło udzielił, lecz on przestał na tem,

I z tysiąc złotych na rok, sądził się bogatym:

Umiął on swą spokojność, swoją mierność cenić,

Nigdy miesca nie zmienił, ni żądał odmienić.

Skromny, nieśmiały, obcym był mu układ chytry,

Niewiedział, jak pochlebstwy wzbijać się do mitry,

Nieznał co to o urząd, co o łaski prosić,

Wolał wspierać ubogich, niż sam siebie wznosić;

Potrzebny, bez bojaźni drzwi jego otwierał,

Umiął karcić próżniaków, ale nędzę wspierał;

Miłym gościem był starzec do jego gospody,

Co okrywał pierś zeszlą pasmem siwej brody.

I marnotrawca ciężką biedą poprawiony,

Kiedy spojrzał litośnie, nie był odrzucony:

Mile przyjęty żołnierz, co siły postradał,

Siedząc z nim przy kominku, noc całą przegadał,

Opowiadał swe rany, trudy, i gonitwy,
I szcudłem pokazywał, jak się toczą bitwy :
Uśmiechał się mąż dobry, nad jego zapaly,
Bo w cierpieniach bojaka, przestępstwa znikaly.

Tak w progach, w których znana nie była obfitość,

Wprzód dobroć dała, niż się odezwała litość.

Niedość na tylu cnotach, poślubiony Panu,
Wiernym był powinnościom wybranego stanu,
Nauką swoją wszystkim pociechę przynosił,
Za wszystkich czuł, i płakał, modlił się i prosił.
Tak jak biedna ptaszyna, płód pierzem okryty,
Wabi każdym sposobem, na powietrzne szczyty ;
Tak on, owieczek swoich, gromadkę ubogą,
Ciągąc do lepszych światów, szedł pierwszy tą drogą.
Przy łożu, gdy człowieka, siły już omdleją,
A boleść, żal, i trwoga, dręczą go koleją,
Stawał szonowny Pleban : na głos jego boski,
Ucieka czarna rozpacz, i bojaźń, i troski,
Słodka nadzieja, w duszę strapioną wstępuje,
I gasnącym już oczom niebo ukazuje.

W kościele, gdy do Boga wznosi święte pienie,
Jakaż te siwe włosy, te słodkie spojrzenie,
Cześć wzbudzały : ach nieraz kiedy upominał,
Ten co przychodził śmiać się, modlić się zaczynał.
Po modlitwie, gdy schodził wraz rzesza zebrana,
Z uszanowaniem swego otacza kapłana,
Maleńkich nawet dzieci, poczet szczobiotliwy,
Ciągnie go za sutannę, by wzrok jego tkliwy,
Lub słodki uśmiech ściągnąć : on pełen wesela,
Jak czuły ojciec słodkich pieszczot im udziela :

On ich zachęca, wspiera, troski ich uśmierza: . . .
Ale surowszą myślą zawsze w niebo zmierza.

Tak skała, wzbijająca w niebo szczyt wysoki,
Lubo w średnicy swojej zostawia obłoki,
Lubo łoskot piorunów, wewnątrz jej przenika,
Wiecznych słońca promieni, czołem swem dotyka.



XXXI.

E L E G I A

**na śmierć brata mego,
Jana Ursin Niemcewicza.**

Cóż są te pienia żałobne,
Te blade światła, z wiatrem się chylące,
Te mary smutnie ozdobne,
Cóż są te ciężkich dzwonów głuche dźwięki,
Ten płacz, te jęki?

Niepytaj, wstrzymaj kroki popędliwe,
Czoło twe zimnem, okryje się potem,
Wieść ta nieszczęsna, wskrósź śmiertelnym grotem,
Przeszyje serce twe tkliwe.
W tej trunie, co ją kir czarny okrywa,
Brat twój spoczywa!

Zamknął mąż prawy, dni swoje na wieki,
Mąż, co się Pańskiej zawsze trzymał drogi,
Przez niego sąsiad, ni kmiotek ubogi,
Niezrosił łzami powieki.
Legł obywatel, ojciec i brat tkliwy,
Usnął, usnął sprawiedliwy.

Już Rydwan stanął, już pienia ustają,
Zdejmują trunę przyjaciół wierne,

I wieko grobu, podnosząc niezmierne,
 W podziemne lochy spuszcza ją,
 Krzyk się rozchodzi, serc żalem przejętych,
 Po gmachach świętych.

Niemasz cię więcej bracie mój koehany,
 Nie tobie było pierwszemu umierać;
 Tyś kraj, tyś synów mógł radami wspierać,
 A ja na troski skazany,
 Ja co igrzyskiem ciężkich przygód byłem,
 Ciebie przeżyłem.

Sprzeczne miało nami przeznaczenie,
 W ojczystych cieniach, tyś pędził dni twoje,
 A mnie los cisnął na walki, na znoje,
 Na Oceanu przestrzenie . . .
 Próżno los dzielił umysł, serca wolne,
 Były nam wspólne.

Jużeś więc stanął w umarłych dziedzinie,
 Gdzie rzędem stoją zwłoki spokrewnione,
 Gdzie ojciec, krewni, siostry ulubione,
 Gdzie matka leży przy synie,
 Jeszcze i dla mnie, pełniąc liczbę całą,
 Miejsce zostało.

Ach jakże ujrzę te ojczyste włości,
 Te miejsca lube kędym się urodził,
 Te gaje, błonia, kędym z tobą chodził:
 Już wszystko źródłem żalości;

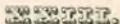
Każde ustronie myśl moja płaczliwa,
Kirem okrywa.

Wszystko zatrute, przez tę ciężką zgubę,
Z tobą zniknęły, lat tak chyżo płynnych,
Smutków, powodzeń i zabaw dzieciennych,
Pamiętki lube.
W zmierzchu dni moich, w tyłu trosków tłumie,
Któż mię zrozumie.

Nad grobem co twe popioły zawiera,
Noc smętna, słodką cichość rozpościera,
Migają ognie, w niskich chatach kmieci,
Rozkwitła lipa woń przyjemną nieci;
Lecz te zapachy, te światła na niebie,
Już nie dla ciebie.

Jak zwiędłe liście w ponurej jesieni,
Z szelestem pędzi wiatr w padoły ciemne,
Tak śmierć, tysiące ludzkich pokoleni,
Spycha w mieszkania podziemne;
I ja nie długo, z mą ciężką żalobą,
Pójdę za tobą.

Już w mej pamięci trzecie pokolenie,
Zstępuje cicho, w głuche śmierci cienie,
Nadchodzi czwarte: spraw o Boże wielki,
Niechaj żyje bez skazy, i bez winy wszelkiej,
Niech jeszcze wleje, w kielich mych goryczy,
Kroplę słodczy.

**Medytacye nad starą miotłą.**

*Napisane po Angielsku, przez Jonatana Swift, Doktora
Ś. Teologii, Dziekana kościoła Katedralnego,
Ś. Patrycyusza w Dublinie.*

Tę miotłę, co w tym kąciku,
Niedbale widzisz rzuconą,
Niedawno w naszym gaiku,
Pełną soków, i zieloną
Widziałem na własne oczy,
A dziś robactwo ją toczy!
Na próżno człowiek, choć przeczy natura,
Chce ją naprawić, pychą się zaślepia,
I do starego kostura,
Ten brudny wiecheć przyczepia;
Niestety! miotła zwiędniała,
Nie będzie czem wprzód bywała;
I owszem całkiem zmieniła figurę:
Wierzch jej na ziemi, korzeń sterczy w górę,
Cała usługa, cała jej zaleta,
Że nią, czerwone dziewczysko,
Pokoje, nieraz ognisko,
Lub sień zbłoconą zamieta.
A zamietając i mruczając pod nosem,
Niewie stworzenie ubogie,

Ze niezbędnym jest jej losem,

Gdy pełni posługę nudną,

Czego się dotknie, to robić chędogie,

A samej wiecznie być brudną.

Ale już pono, i do tej usługi,

Nie będzie miotła braną przez czas długi,

Dobrze z szarżana pójdzie na wierzch śmieci,

Albo nią kucharz ognisko podnieci...

Tak, długo w miotłę mając wryte oko,

Przejęty żalością tkliwą,

Rzekłem westchnawszy głęboko,

„Za prawdę, człowiek jest miotłą prawdziwą.“

Przychodzi na świat zielony,

Ale dobrze ukształcony,

Ma włosy, jak ma liście gałązka brzeziny,

Gdyż włosy, są liśćmi, rozsądnej krzewiny,

Ale wkrótce je traci, przez zbytki, mozoły,

A gdy łysy, kiedy łeb jak dynia już goły,

Do pomocy wzywa sztukę,

I jak ów kostur, wiecheć, on bierze perukę,

Kładzie puder, pomadę na tupet wyniosły,

Choć na nim nigdy nierosły!

Pytam dzisiaj bezstronnego,

Gdyby miotła z wiecheć swego,

Tak się chlubiła, jak człowiek z peruki,

Jakby się śmiano, z tak niezgrabnej sztuki!

Ale już słyszę, ktoś mi z boku powie,

Miotła, jest tylko drzewem co stoi na głowie;

Lecz i my ludzie, czyż tak niestojemy,

Czyliż na głowach, często niechodzimy?

Czyż nie jeden, przed władzą, w koperczakach zwinny,
 Nie ma tam głowy, kędy pięty być powinny!
 Z tyłą jednak słabości, chociaż nie raz chybi,
 Do czegoż się człek niewścibi?
 Wszystko poprawia, wszystko wiedzieć żąda,
 I w każdy kątek natury zagląda.
 A z tamtąd wymiatając rozmaite brudy,
 Kiedy w mniemaniu że wynalazł cudy,
 Dumny, przed światem odkrycia swe głosi,
 Jak miotła, tuman kurzawy podnosi!
 Jeżeli ten kostur, wiecheć zaszargany,
 Jest przez dziewczkę tak szarżany,
 Ach! w każdej kobiety rękę,
 A często nawet bez wdzięku,
 Czymże jest człowiek? ach, co z nim wyrabia,
 Płocha letkość, lub złość babia?
 Niemówmy dalej, obu meta niedaleka,
 I ten sam koniec miotły, co człowieka;
 Gdy mało szczęścia, wiele dozna złego,
 Gdy się przez chwile pośmieje, posmuci,
 W starości, już niezdatnego,
 Ktoś jak ten wiecheć na śmiecie wyrzuci.

KONIEC TOMU II.

Spis rzeczy

zawartych w tym Tomiku.

Bajki. Księga Piąta.

	Stronnica
I. Jabłko Rajske	1
II. Sowa, Ziemba i Krogulec	5
III. Plotki	8
IV. Brat i Siostra	12
V. Kundle	17
VI. Gmach podupadły	19
VII. Bekieszka	23
VIII. Mucha i Pszczoła	25
IX. Pożar	29
X. Kręty	32
XI. Szczury	36
XII. Okręt	41
XIII. Chińczyk	43

XIV.	Orzeł i Robak.....	45
XV.	Dwa Gołębie. <i>Z Pilpaja</i>	46
XVI.	Kura i Indyk.....	50
XVII.	Skoczek na Linie	53
XVIII.	Słowik, Wróbel i Ziemba	56
XIX.	Trzy Pajaki i Mucha	58
XX.	Źródła i Strumyki.....	61

Bajki. Księga Szósta.

I.	Lew, Niedźwiedź i Komar	67
II.	Pęcherz i Kłos	69
III.	Jeź i Róża	71
IV.	Zając i wielu Przyjaciół.....	73
V.	Szczęście i Nieszczęście	76
VI.	Zefir i Piwonia	79
VII.	Żółw i dwa Pawie	81
VIII.	Poręcze	83
IX.	Motyl i Ślimak	85
X.	Osły przy Rogatkach	87
XI.	Ropucha i Robaczek świecący	90
XII.	Dzieci na łodzi	91
XIII.	Małpa i Lampart	92
XIV.	Wychowanie Lwa. <i>Z Floryana</i>	94
XV.	Małpa na reducie	99
XVI.	Pióra i Szabla	102

Stronnica.

i XVII.	Ubogi Wieszczek. <i>Z Angielskiego</i>	105
XVIII.	Ziemia	108
XIX.	Rotka	109
XX.	Motyl i Pszczoła.....	113
XXI.	Herostrat	114

Powieści. Księga Pierwsza.

I.	Sułtan i Wezyr	119
II.	Rząd Suty	122
III.	Panna Guzdralska	124
IV.	Nadzieja karmiąca Chimere	135
V.	Kupidyn i Szaleństwo	137
VI.	Miłość i Rozum. <i>Z Angielskiego</i>	143
VII.	Olimp i Ziemia	146
VIII.	Trzewiki	154
IX.	Miłość i Wabność	157
X.	Wyrok Jowisza. <i>Z Juvenalisa</i>	161
XI.	Miłość przebrana	167
XII.	Samice Ptasząt w poselstwie do Jowisza. <i>Z Dżan Batysta Roberti</i>	171

Powieści. Księga Druga.

I.	Nowy Sąd Parysa	177
II.	Spór o pierwszeństwo	180
III.	Poselstwo Osłów do Jowisza. <i>Z Dżan Ba- tysta Roberti</i>	185

IV.	Duma o Niedźwiedziu	189
V.	Miłość Zabawna	194
VI.	Moje przeznaczenie. <i>Z Hispańskiego</i>	197
VII.	Powódź	200
VIII.	Zakonnik. <i>Z Angielskiego</i>	202
IX.	Cień Eweliny	206
X.	Czas i skargi na niego	210
XI.	Zamek Jazłowiecki. Duma	213
XII.	Lord Byron do żony	221
XIII.	Okropna puszcza. Duma. <i>Z Ruskiego</i>	224
XIV.	Mołodec. Duma. <i>Z Ruskiego</i>	226
XV.	Allegro czyli wesoły. <i>Z Milтона</i>	228
XVI.	Il Penseroso czyli zadumany. <i>Z Milтона</i> ..	234
XVII.	Dzieci w lesie. Duma. <i>Z Angielskiego</i>	239
XVIII.	Jest nas siedmioro. Ballada. <i>Z Angielskiego</i> ..	245
XIX.	Pieśń dla Ludu	248
XX.	Do przeciwności. Oda. <i>Z Angielskiego</i>	251
XXI.	Wiejski Pleban. <i>Z Angielskiego</i>	253
XXII.	Na śmierć Jana Ursin Niemcewicza. Elegia ..	256
XXIII.	Medytacye nad starą miotłą. <i>Z An-</i> <i>gielskiego</i>	259.

J. U. NIEMCEWICZ.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO